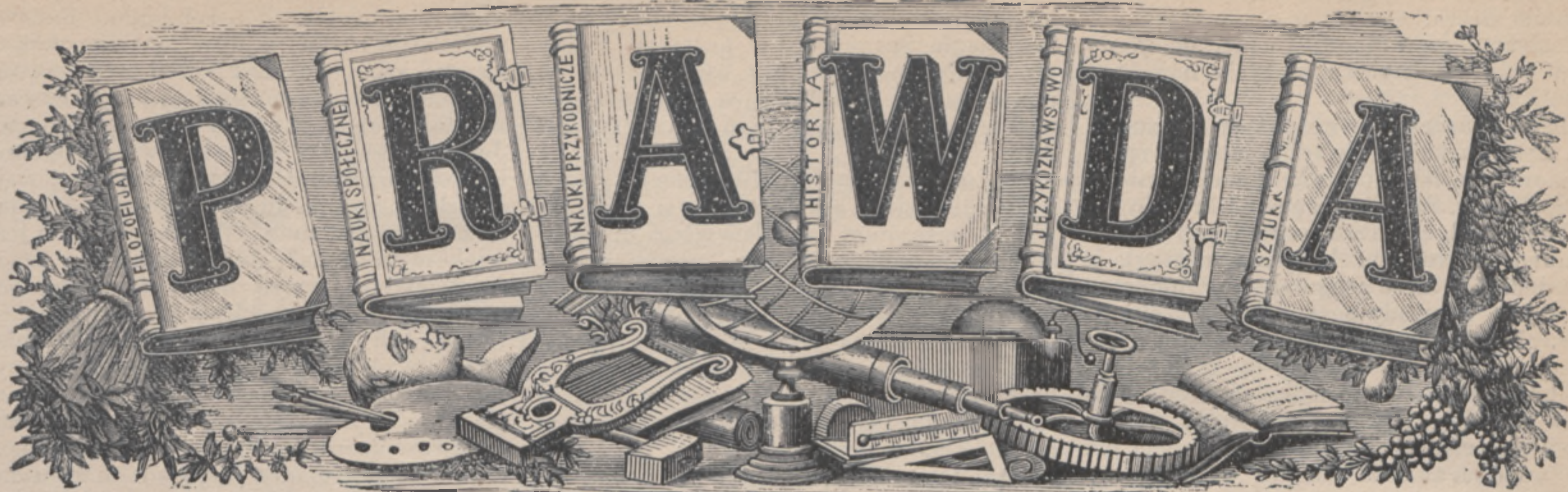
№ 36. Warszawa, dnia 6 Września (25 Sierpnia) 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. Gospodarka wsteczników p. K. T. — Stasiek (obrazek miejski) p. W. Marrené. — Burza w sejmie chorwackim p. Rewerę. — Międzynarodowy kongres lekarski (w Kopenhadze) p. X. X.—Listy petersburskie p. W. Ż.—Piśmiennictwo rosyjskie: Kijewskaja Starina p. Ces. N.—Liberum veto p. Posła Prawdy.—Na widnokręgu p. Lacha.—Tydzień polityczny.—W sprawie lekarzy p. Jednego z młodych lekarzy.—Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi.—Ofiary.—Ogłoszenia.

GOSPODARKA WSTECZNIKÓW.

Liberalizm rozpada się w gruzy! Wstrętny ten pomiot rozpustnych popędów i wykoszlawionej pseudo-nauki kończy marny żywot, zmęczony kankanowymi ruchami! Tak twierdzi od lat niepamiętnych wszelkie europejskie wstecznictwo i dochodzi do coraz większej zapadłości, jak gdyby nienawistny przeciwnik nie był bliskim śmierci mizerakiem, lecz wzrastał w siły i stawał się groźniejszym. W ostatnich czasach krzyki reakcyi podskoczyły o ton jeden jeszcze i nuta tryumfu zabrzmiała z niesłychaną rzewnością. Przyczyną tego było, iż do klerykalnego basu dołączył się piskliwy dyszkant ultra-radykalnych partyj „przewrotu społecznego" i „przyszłego ustroju." Czego chcą stróże moralnego porządku, każdy łatwo zrozumie; ale o co chodzi krańcowemu cyplowi polityczno-społecznej lewicy, tego nie domyśla się zapewne ogromna większość ogółu. Tajemnica polega na tem, że ludzie, za probierz prawdy uważający radykalizm, lubią paradoksami dowodzić stanowczości swych poglądów i zadawalają się brzmiącym frazesem, zamiast zbadania gruntu rzeczy.

Co jest liberalizm?

Pytanie w tej formie niedogodne jest i dla prawomyślności i dla radykalizmu; byłoby wygodniej określać liberałów, bo wtedy epitetami zastąpić można ścisłość, a wskazywaniem na partye i ludzi — treść. Zdobywszy się jednak na odpowiedź, konserwatysta da określenie następujące: Jest to doktryna niebezpieczna dla Boga (tak się naiwnie wyraża *Gaz. warszawska* w nrze 192), dla moralności, dla ideałów, znosząca podwaliny społecznego bytu, ojczyznę, rodzinę itd. Wskaże przytem na narodowo-liberałów pruskich i centralistów austryackich, jako na próbkę kierunku, co naturalnie u nas wrażenie wywrzeć może.

Butny radykał tak mniej więcej wyrazi swe orzeczenie: Liberalizm to teorya, uświęcająca wolność współzawodnictwa, która daje prawo bogatemu dusić biedaka, mocnemu — słabego; typowym liberałem jest ekonomista szkoły manchesterskiej.

Nic łatwiejszego, jak wykazać, że podobnenia ani ścisłe, określe ani trafne nie są. Dla konserwatysty liberałem jest zarówno nowoczesny protestant, obezsilający swój umysł teologią deizmu, jak i bezbożny materyalista; zapalczywy marzyciel o wszechludzkiem państwie i wolnej miłości, jak i największy patryota wieku — Gambetta, jak pozytywista, odrzucający rozwód, aby pozostawić nietkniętą świętość rodziny. *Czas* w jednym z ostatnich numerów nazywa typowym liberałem Laveleye'a, zwolennika decentralizacyi i autonomii, a obok smaga liberałów-centralistów.

Zupełnie tak samo rzecz się ma z określeniem, dawanem przez radykałów-socyastów. Liberałem nazywają oni zarówno Bastiata, jak i Thiersa, wznoszącego na wszystkich przesmykach granicznego pasa rogatki i usuwającego zupełnie wolną konkurencyę w handlu. Wszystko, co oddziela partyę ich od zachowawczego obozu, chrzczą pogardliwem mianem liberalizmu, chociaż tam mieści się świat cały przeciwieństw ekonomicznych i społecznych. Nie dość na tem, przyjmując taki punkt wyjścia, trzeba byłoby *Gaz. warszawską* nazwać liberalną, gdyż czci ona jak świętość wszystkie wywody prawomyślnych ekonomistów, a przecież pismo to nazywa samo siebie zachowawczem, broni haseł konserwatyzmu i, jak może, gromi liberałów.

Jak teraz wybrnąć z tego chaosu i jak odnaleść pojęcie, odpowiadające w istocie słowa?

Co jest pozytywizm, kantyzm, ewolucyonizm — wiemy dobrze i ściśle określić możemy, bo mamy uczonych przedstawicieli tych szkół. Filozofa takiego, którego naukę można by nazwać liberalizmem, nie ma i nie może być. Socyalizm na całym świecie w rdzeniu swych żądań jest jednaki, liberalne stronnictwo polityczne w Niemczech i Szwajcaryi różni się pod względem ekonomicznych dążeń i w poglądach na ustrój państwowy. Liberalizm nie jest więc ani teoryą, ani doktryną, ani jakąś działalnością publiczną z określonym programem.

Natomiast jest on zbiorowem pojęciem, mieszczącem w sobie najrozmaitsze kierunki myśli i dążeń, jest wspólnym źródłem, z którego wypływają niezliczone prądy, rozchodzące się następnie i dosięgające najbardziej przeciwległych krańców.

Trzeba więc odszukać cechy, wspólne wszystkim pojedynczym kierunkom i one dopiero dadzą określenie liberalizmu.

Konserwatyzm za podstawę bytu społecznego uważa religię objawioną, która daje ściśle oznaczone zasady moralności, uświęca istniejące urządzenia i dla nauki zakreśla granice. Ponieważ podstawa taka daną jest przez najwyższą mądrość, powody jej więc ani krytykowane, ani poddawane w wątpliwość być nie mogą. Trzymać się tego zachowawcy muszą dla konsekwencyi, chociażby nawet uważali religię za instytucyę jedynie poświęconą potrzebie społecznej, bez objektywnej rzeczywistości, odpowiadającej jej twierdzeniom. Wszelkie więc wyłamywanie się z pod zasad i praw, danych przez objawienie, było i jest poczytane za zbrodnię, za *wolnomyślność*, za *liberalizm*. Odskok od twierdzeń objawienia mógł być zrobiony we wszystkie strony, w imię różnych zasad, które następnie rozwijać się mogły w biegunowo przeciwne kierunki. Dla prawomyślności to wszystko liberalizm: Kopernik, Diderot, Comte, Marx, Darwin, Supiński, Gladstone, Gambetta...

Przy takiem orzeczeniu wszelki chaos pierzcha i okazuje się, że zachowawcy, nazywając wspólnie wszelkie nieprawomyślne *izmy* liberalnością, mają racyę, fałszywie tylko wyłączne cechy pojedynczych prądów (w dodatku przekręcone i doprowadzone nieraz do absurdu) kładą na karb ogólnej dążności.

Co zaś do radykałów socyalistycznych, to ci utartej na długo przed ich narodzinami nazwie nadali inne znaczenie i wpadli w niezgodę z samymi sobą.

A teraz wróćmy do złowrogich przepowiedni niecierpliwych grabarzy liberalizmu. Czy prąd, co wykarmił naukę, a dziś znajduje się pod jej najtroskliwszą opieką, może być zagrożony w swym bycie; czy kierunek, co od wieków pracował dla postępu, może nagle spróchnieć i runąć?

Nigdy, przenigdy. Świadczy przeciwko temu coraz szerzej i śmielej rozwijana chorągiew buntu przeciw teologicznym pretensyom. Dziś już dwóch, trzech zaledwie naliczyć można pracowników nauki, którzy stanowczo nie zerwali pozornej zgody z objawieniem. Czy, prócz matematyki, jedna chociaż gałąź wiedzy nie przeczy najwymo-

wniej każdym szczegółem wszystkim twierdzeniom Biblii?

Toż samo, co w filozofii i nauce, dzieje się i na polu praktycznego życia narodów, w polityce.

Hasła konserwatywne zużyły się zupełnie. Przysłuchajmy się tylko mowom i programom wszelkich prawic w parlamentach europejskich. Składają się one z brutalnych a kłamliwych zarzutów, czynionych liberalizmowi (w rodzaju burzenia rodziny), a cała dodatnia część pragnień uargumentowana jest w zasady pożyczone u przeciwników. „My żądamy od was wolności w imię waszych haseł, a zabieramy ją w imię naszych" — powiedział kiedyś cynicznie Ludwik Veuillot. Prawdziwej treści swych dążeń wstecznictwo dziś nie ośmiela już wystawić na światło dzienne. Boi się, aby rozkładająca się mumia nie odstraszyła wszystkich potwornością swych kształtów i barw, więcróżuje ją sofizmatami o liberalnych pozorach i osłania firanką z frazesów o swobodzie. Nie waha się ono utrzymywać, że pogrzeb cywilny gwałci wolność wiernych, że poddanie klasztorów pod prawa, obowiązujące wszystkich obywateli (w dodatku zgodnie z konkordatem), jest zbrodnią dokonaną na swobodzie wyznania!

Ludność, wiejska szczególniej, znać nie może ani intencyj, ani istotnej wartości tej lub owej partyi, tych lub owych przekonań, probuje więc powierzać swe sprawy w ręce i jednych i drugich. Na odezwach spotyka tylko zapewnienia miłości dla wszystkich pięknych rzeczy, a nie szczegóły zamiarów.

Wszystkie partye postępowe mają przytem ważną słabą stronę wobec opinii publicznej, bo wydają dużo pieniędzy. Jest to konieczne następstwo tego, że dużo robią; nic łatwiejszego, jak nie tykając nic, nie ulepszając nic, tylko konserwując złe i dobre rzeczy, oszczędzać grosze. Wszędzie zachowawcze stronnictwa korzystają z tej okoliczności. Skorzystali r. b. w Belgii i nadspodziewanie dużą liczbą większości opanowali Izbę niższą.

Zawładnąwszy sterem państwa, klerykali przystąpili bezzwłocznie do gaszenia światła w narodzie. Nie odważyli się jednak otwarcie powiedzieć: wszelka oświata podrywa nasz byt, jest nam nienawistną, chcemy nieuctwa, chcemy, aby ludność to tylko wiedziała, co się mieści w zatwierdzonych przez Rzym katechizmach. Zjezuicką chytrością oświadczyli, że rozwój szkół leży im na sercu, ale pragną swobody w ich urządzaniu, pragną, aby przytem gminy wydawały mniej, robiły oszczędności na nauce dzieci. Szkoła więc zostanie, ale padnie na nią trujący cień mniszego habitu.

Na mocy ustawy 1879 r. każda gmina w Belgii posiada szkołę rządową, zostającą pod bezpośrednim zarządem władz miejscowych i kontrolą centralnej administracyi.

Przyjęty już projekt ministra Jacobsa pozwala gminie znieść szkołę, jeżeli zechce i jeżeli na miejscu istnieje szkoła prywatna. Prócz tego naczelne miejsce w wykładach daje religii, która dotąd nie była narzucaną nikomu i wykładała się po za godzinami obowiązkowemi.

Istniejące szkoły prywatne należą do klasztorów, gminie naturalnie ubędzie wydatków, gdy opłacać przestanie budynek i nauczyciela; jest to więc rachuba na złakomienie się nierozumiejących swego dobra mas. Żądanie 20 ojców rodziny może zachować szkołę gminną, ale nie będzie ona posiadała już dzisiejszych praw.

Każdy znający chociaż cokolwiek historyę szkół w Europie i nadużywanie haseł, pozna odrazu, jakie zamiary kryją się pod przyjemnemi osłonami wolności w nauczaniu. Dorosłemu człowiekowi należy i można zostawić rozległą wolność postępowania, ale gdyby też samą zasadę zastosować do dziecka, to niechybnie zwaliłoby na siebie przy najpierwszej sposobności gotujący się samowar, lub głowę o kant pieca roztłukło. Moralnie pedagogika każe narzucać wolę starszych istotom o nieskrzepłych pojęciach, aby uchronić od wykolejenia. Tak samo rzecz się ma ze szkołami ludowemi. Inteligencya krajowa, rozumiejąca lepiej interesy mas, niż one same i posiadająca rząd w swem ręku, ma prawo i powinność wprowadzenia szkoły bądź co bądź i chronienia jej od wpływów szkodliwych. Tak się działo kiedyś w Genewie, w Zurychu; potrzebne było prawo o obowiązkowem nauczaniu, przymus, a dziś już ludność za nic w świecie nie pozwoliłaby wydrzeć sobie szkół.

Gonienie więc mar nieograniczonej swobody w sprawie oświaty jest tylko wodą na młyn wstecznictwa. Przy wprawie i bogatych w tym kierunku tradycyach potrafi ono zaprowadzić istotną tyranię pod pozorem wolności. Zbadajmy tylko obecny wypadek w Belgii. Dziś gmina sama wybiera sobie nauczyciela, kontroluje go. Rodzice mają bezpośredni wpływ na kierunek oświaty, która wskutek samej możności różnorodnych żądań musiała być objektywną, niezabarwioną żadnemi namiętnościami. Jeżeli pragnienia klerykałów się spełnią i szkoły prywatne zastąpią rządowe, wejdzie do nauczania duch wyłączności i znauki zrobi propagandę. W którym razie jest większa swoboda? Juźci klasztory przez dobroczynność uczyć dzieci nie będą, lecz mają swój cel — cel partyi klerykalnej. Chłopi, lub przynajmniej większość chłopów, nie rozumie, według rachuby księży, tak dobrze niezależności kierunku w oświacie, aby dla niej poświęcić miała dogodności kieszeniowe. Do czego doprowadza nauczanie księży, mamy przykład na kantonie Wallis, gdzie z nieuctwem do dziś państwo dać sobie rady nie może, choć już od wielu lat posiada władzę pielenia chwastów.

Naigrawaniem z rozsądku ludzkiego jest szczegół ustawy, że żądanie 20 ojców ma prawo usunąć obowiązujący wykład religii. Dlaczego 20 ojców może nie chcieć, aby dzieci ich wychowywano w pewnych zasadach, a jeden nie? Czy liczba ma tu jakie znaczenie?

Przejdźmy do następstw tego faktu. Chcąc zyskać zaufanie ludności, wstecznictwo staranie zakryć musiało swe plany, ale jak tylko osłona, nie spadła, lecz stała się przejrzystą tylko, w tej chwili wzniósł się głos protestu, podawany z miasta do miasta, który olbrzymieje i dochodzi do rozmiarów ogólnie narodowego oburzenia: oszukano nas, targnięto się na szkoły naszc, ci ludzie nie wyrażają naszych pragnień! Czy król usłucha tego głosu i rozpuści Izbę, czy nie zrobi tego, to doniosłości pouczającego zajścia nie zmieni. Widzieliśmy, jak zachowywać się muszą klerykali, aby pozyskać głosy, jak potem, zdobywszy pozycyę, nadużywają zaufania bez najmniejszego skrupułu, z jakim wstrętem ogół przyjmuje prawdziwe dążenia wstecznictwa. Z konieczności hypokryci, znienawidzeni, gdy tylko wracają do swej skóry, rzecznicy zachowawczości śmią jeszcze głosić, że liberalizm się rozkłada!

Za cztery lata dzisiejsza Izba belgijska zmieni się całkowicie. Przez cztery lata ran wielkich, nieuleczalnych oświacie zadać niepodobna, a lekcya nie przepadnie

---

2)

STASIEK.

(Obrazek miejski).

Póki trwało lato, Staśkowi było, jak to mówią, półbiedy. Przy swojej zręczności targował czasem dziennie i trzydzieści sztuk pism rozmaitych.

W lecie zresztą nie potrzebował troszczyć się o nocleg, nadawały się bowiem na ten użytek skwery, ławki w alejach, piwnice budujących się domów itp. bezpłatne hotele biedaków. Pożywić się także było łatwiej — bułki, tanie owoce, ogórek kwaszony wreszcie, starczyły. Ale kiedy przyszły słoty jesienne, kiedy potem śnieg przysypał ziemię, życie stało się coraz cięższe a zarobki zmniejszyły się znacznie.

W lecie jaki taki kupował *Kuryera*, siadając do tramwaju, w zimie każdy się kurczył, chronił od zimna i myślał tylko o tem, żeby prędzej dojechać. Jeśli zaś był ciekawy, wolał na czytanie wstąpić do cukierni i wypić czarnej kawy lub herbaty gorącej za tę dziesiątkę, którą *Kuryer* kosztował.

Sprzedający też znikali jeden po drugim. Rzemiosło przyjemne i korzystne w lecie, stawało się teraz przykrem. Każdy wracał do rodziny lub szukał innego zarobku. Stasiek byłby także pewno schronił się do matki, ale jak przypomniał sobie ojczyma i ostatnie spotkanie, to już wolał cierpieć głód i zimno. Tylko czasem siadał skurczony i zmarznięty w jakim kącie z oczyma szklisto wlepionemi przed siebie a wówczas w wyobraźni jego przesuwała się ciepła izba, ciepła strawa, a może i pieszczota matczyna.

Zresztą czasem i w jesieni i w zimie słońce zajaśnieje a jeden taki promień dodawał odwagi chłopcu. Potrzeba, która jest matką wynalazków, dopomagała mu do utrzymania, z *Kuryerami* połączył drobny przemysł, sprzedawał zapałki, bo zauważył, że te zawsze bywają potrzebne. Dawano mu za zapałki, tak jak *Kuryery*, na sprzedaż z groszem lub dwoma zarobku na paczce— stosownie do ich ceny.

Biedny konik polny wychudł, wymizerniał i podobnym był zupełnie do swego imiennika z bajki, kiedy przychodzi zbiedzony do gospodarnej mrówki. Płócienne ubranie podarło się i było zupełnie na tę porę nie wystarczające. Ktoś z miłosierdzia dał mu stare buty i stary mundurek szkolny, od którego odpruto guziki. Jedno i drugie było na niego za wielkie a kiedy je włożył, wyglądał na małego żebraka.

Nie myślał jednak zastanawiać się nad niedoborami swej toalety, bo już to wogóle jakiekolwiek zastanawianie się było wprost sprzeczne z jego naturą. Tylko w mundurku i w butach zbyt wielkich było mu niewygodnie; zawadzały one w swobodnem uwijaniu się po tramwajach. Inni chłopcy śmieli się z niego.

— Ej Stasiek—wołano—strzeż się, upadniesz!

On wzruszał ramionami. Im więcej chwalono jego zręczność, tem bardziej czuł się w obowiązku ją pokazywać. Budziła się w nim jakaś duma nieznana, gdy czynił rzecz trudną, przed którą cofali się jego współtowarzysze. Więc niedość, że wskakiwał do tramwajów, będących w biegu, ale przelatywał z jednego na drugi i rzucał się prawie pod koła. Niebezpieczeństwo, z którego sobie jasnej sprawy nie zdawał, nęciło go, podniecało do coraz śmielszych skoków, tem bardziej, że przejezdni wynagradzali je, kupując *Kuryery* i płacąc za nie hojnie. Sam sobie wymyślał trudności i lubił je pokonywać.

Raz, gdy skoczył równemi nogami na biegnący wagon, ofuknął go konduktor:

— Chcesz widać ręce i nogi połamać!

Chłopak, roznamiętniony niebepieczną grą, roześmiał się, pokazując białe zęby.

— Abo co? — mruknął, patrząc na konduktora swemi ptasiemi oczyma, pełnemi bezmyślnego blasku — czy to nie moje?

Konduktor chciał go skarcić, ale on wywinął mu się w ręku jak piskorz i rzucił się do wagonu, biegnącego w przeciwną stronę, ze zręcznością akrobaty. Konduktor machnął ręką a chłopak miał ochotę pokazać mu język, jak to uczynił ojczymowi,

bez korzyści. Belgowie długo pamiętać będą, co to znaczy swe losy powierzać w ręce pobożnych zwolenników wstecznictwa. Oby to doświadczenie posłużyło za naukę i dla innych narodów.

K. T.

BURZA W SEJMIE CHORWACKIM.

Od czasu zawarcia ugody austo-węgierskiej i równoczesnego nadania Chorwacyi pewnej odrębności, rozwijać się zaczęło Królestwo trójjedyne tak pięknie, że aż zwróciło na siebie zawistne oko sąsiadów węgierskich. Szło to nie w smak madziarom, że tam na południu ich państwa rozkwita kraik słowiański, który od nich wprawdzie jest zależny i zbyt drobny, ale siłą moralną w niemałym stopniu oddziaływający nainnych słowian okolicznych, tych zwłaszcza, którzy cieszą się „swobodami“ węgierskiemi. A nuż Chorwacya — to Piemont słowiański, a nuż ruszą się serbowie i słowacy? Wzięto się więc do rozmaitych środków i środeczków, aby tylko nastawić jaknajwięcej zapór odrębnemu życiu Chorwacyi. Postępowano zrazu legalnie, wkrótce jednak jęto się i bezprawia. Toć *tóth non ember* — słowianin nie człowiek — i paryasa tego odwiecznego wolno choćby hunowi nawet żywcem krajać. Przyszło do tego, że język węgierski wprowadzać już zaczęto do szkół i urzędów w Chorwacyi, choć konstytucyą to wzbronione, a urzędy obsadzać madyaronami — na czele zaś autonomii krajowej postawiono jakiegoś hybryda narodowego, Khün-Hederwaryego, który objąwszy urząd bana, nie złożył nawet przepisanej przysięgi.

Rozmaitymi sposobami stworzyli sobie zaś węgrzy większość w sejmie, pośród której jest też uczciwych ludzi trochę, ale dla miłego spokoju dalekich od opozycyi. Wyłoniło się natomiast po stronie przeciwnej stronnictwo, dążące do radykalnej zmiany obecnego stanu rzeczy, do *zerwania* ugody z węgrami — drugie, umiarkowańsze, do *przywrócenia ugody*. O ile partya rządowa tężała coraz bardziej w swem stańczykowstwie, o tyle opozycya podnosiła głowę coraz wyżej. Ten ruch wahadłowy istnieć przecież nie mógł długo. Przyszło wreszcie do gwałtownego starcia, którego areną była sala sejmowa Zagrzebia w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca. Włosy na głowie stają, gdy czytamy sprawozdanie o tych zajściach. To, co tam mówiono i robiono, przechodzi już granice wszelkiego parlamentaryzmu, choćby amerykańskiego — węgierskiego nawet. Do pism polskich dostały się zaledwie ogólnikowe doniesienia — posłuchajmyż zapisków stenograficznych, jak to tam rozprawiano na jednem z posiedzeń.

Starczević: Cóż, szanowna większości, Chorwacya — to Węgry? Dajecie-bo madyarom więcej, niż oni sami kiedykolwiek żądali, zasługując, doprawdy, aby was wprzężono do ich wozu! Sami przyznajecie, że nasze sądy są przekupne, że nasza administracya nikczemna, a szkoły podłe... Mamże się nie ująć za biednym narodem? Toć każdy zwierz broni swego żywota, a prędzej ja was tu ubiję ze dwudziestu, niż wy mnie zdusicie!...

Przewodniczący: Wzywam pana do porządku!

Starcz. Znowu mi przeszkadzacie?... Pisma nasze konfiskujecie — nas nazywacie szaleńcami...

Przew. O tem możesz pan rozmawiać po za sejmem.

Starcz. Tak, aby nas wasz ban pozamykał!

Przew. Starajcie się mieć większość, a będziecie panować...

Starcz. Cały świat wie, że mamy w narodzie większość, ale pieniądze, rozdawane po trzęsieniu ziemi, żandarmi, bagnety, terroryzm — te dają większość wam!...

Przew. Upominam pana powtórnie! Jego ekscelencya jest banem nas wszystkich.

Starcz. To nie prawda! Dlaczego nie złożył przysięgi?...

Przew. Odbieram panu głos!

Starczević mówi mimo to dalej, przewodniczący stara się mu przeszkodzić — nadaremnie.

Starczević: Dopóki żyję i tu jestem, będę mówił! Inaczej — nie będziecie mówili i wy!

Przewodniczący dzwoni, ale gromowy głos Starczevicia góruje nad całym hałasem w sali. Przewodniczący przerywa posiedzenie. Posłowie z większości sejmowej rzucają się w stronę lewicy.

Starczević: Chcecie się bić?

Rzeczywiście baron Zmaići kilku innych przystępują do Starczevicia z widocznym zamiarem uderzenia go. Wtedy Starczević rozmachuje nagle rękami w dwie przeciwne strony i uderza jedną Zmaicia, który upada na wznak. Mrazović przyskakuje i chce uderzyć Starczevicia, inni posłowie przeszkadzają jednak temu. Galerya tupie i krzyczy:

— *Slava Starczeviciu!*

Hałas rośnie, aż na żądanie przewódców większości, *bez pozwolenia Izby*, przywołano policyę i żandarmów, którzy wyprowadzili Starczevicia ze sali. Wódz *stekliszów* opiera się czas dłuższy — w końcu woła: „Ustępuję przed gwałtem!“ i wychodzi.

Na to towarzysz jego Tuszkan:

— To nie sejm — to jaskinia zbójców!

W największym zamieszaniu prezydent składa urząd, a Folnegović, niby w podziękę, woła:

— Myśmy już dawno mieli zamiar wyrzucić pana oknem!

A Tkalczić:

— Prezydent jest bezwstydnym łgarzem! (Słów tych powodem była okoliczność, że p. Krestić składał swój urząd już cztery razy).

Zaczem wyprowadzili żandarmi i Tuszkana z sali, a większość uchwaliła wyłączyć go razem z Starczewiciem i Tkalcziciem od dalszych obrad w Izbie. Koniec był taki, że stronnictwa opozycyjne (skrajna lewica i skrajna prawica) wniosły na drugi dzień oświadczenie, iż wobec takiego podeptania konstytucyonalizmu nie mogą brać dalej udziału w obradach sejmu. Tosamo uczynił umiarkowany poseł Derenczin.

Oto obrazek — przypatrzmyż mu się teraz krytycznie. Na tle nieustannych sporów węgiersko - chorwackich, w których stroną pokrzywdzoną są zawsze i wyłącznie chorwaci, rysują się dwa wielkie stronnictwa, dwie silne partye, z których jedna ma po za sobą niemal cały lud chorwacki— druga poparcie i bezprawie węgrów. Nie trudno przeważyć szalę sympatyj naszych na stronę pierwszych. *Steklisze* i „niezawiśli“ bronią pokrzywdzonych praw narodu— partya t. z. „narodowa“ uświęca wdzierstwo węgrów w prawa chorwatów i ciągłe łamanie konstytucyi. Opozycya staje nieustannie w obronie interesów ludu—rządowcy myślą tylko o władzy i własnej skórze. Stronnicy Starczewicia są wyjęci niemal

---

brakło mu jednak na to czasu, bo ktoś zażądał jakiegoś pisma. Miał dnia tego szczęście, nietylko sypały mu się dziesiątki, ale jeszcze jakiś siwy pan w bogatym futrze, zainteresowany jego zręcznością, dał mu całego rubla, ażeby sobie kupił buty na zimę.

Stasiek tak się tym darem zdziwił, że zanim zdążył podziękować, siwy pan wysiadł z tramwaju i zniknął w przyległych ulicach.

Chłopak wyglądał bardzo oryginalnie i powierzchowność jego usprawiedliwiała odebraną jałmużnę. Zbyt szeroki mundurek obcisnął rzemiennym paskiem, ażeby mu było cieplej i wygodniej, mundurek jednak roztwierał się u szyi, i widać było podartą koszulę, oraz nagie, wychudłe piersi dziecka. Włosy, gęsto obrastające mu głowę, piętrzyły się nad nią kędzierzawe, niekarne; włosów tych było wszędzie pełno, grube kosmyki spadały mu na kark, na uszy, na czoło i na policzki prawie. Stanowiły one główną charakterystykę jego twarzy, z po za nich to wyglądały oczy okrągłe, błyszczące, nos ptasi o delikatnych zagięciach i wreszcie blado-różowe usta z obwisłymi kątami, które smutnym, sierocym wyrazem sprzeczały się z jasnem spojrzeniem.

Na rubla spoglądał on przez chwilę więcej zdumiony, niż radosny. Nie miał nigdy tyle pieniędzy w ręku, i zaraz przyszło mu na myśl, co z niemi miał zrobić. Suma to była duża względnie do tego, co zarabiał, ale względnie do potrzeb stanowiła zaledwie kroplę w morzu. Stary pan kazał za nią kupić buty.

Stasiek jednak wiedział dobrze, iż buty były dużo droższe. Do schowania zaś pieniędzy był on zupełnie niezdolny. Co prawda, nie miał ich nawet gdzie chować, możliwość zostania kapitalistą nie wchodziła wcale do prawdopodobieństw jego położenia, nie dziw więc, że zastała go nieprzygotowanym. Dotąd obywał się wesoło bez wszystkiego, czego nie posiadał, gdyby przecież zastanawiał się chwilę nad sposobem użycia pieniędzy, byłby ocenił całą swoją nędzę. Nie zastanawiał się jednak.

— Co mi tam — mruknął.

Podrzucił w górę papierek, podskoczył na jednej nodze i schwytał go dłonią w powietrzu.

— Ot — szepnęła przechodząc jakaś kobieta — zgubisz pieniądze. Dałbyś lepiej matce do schowania.

Słowa te uderzyły Staśka. A gdyby poszedł do matki ze swoim rublem? Czuł, że ta suma w jego ręku zrobiłaby pewne wrażenie na ojczymie, był dumny z jej posiadania. Zresztą przywykł iść za pierwszym popędem, który u niego był niepowstrzymany i bez namysłu biedz zaczął ku Bednarskiej ulicy.

Było to w porze dni najkrótszych. Na ulicy panował dzień, ale w mieszkaniach pracowitych ludzi zapalały się już światła. Świeciło się też w mieszkaniu krawca. Stasiek zatrzymał się chwilę na dziedzińcu, było mu jakoś dziwno, serce w piersi biło mu jakby młotem, a kolana uginały się pod ciężarem ciała. Chciał zajrzeć przez okno, zobaczyć, gdzie siedziała matka, ale niskie okno strzeżone było przez muszlinowe firanki a przytem ciepło, panujące wewnątrz, okryło je warstwą wilgotnej pary. Przez nią dojrzeć można było światło lampy i niewyraźne zarysy pochylonej przy niej postaci. Pod oknem bowiem znajdował się warsztat ojczyma, pamiętny dobrze Staśkowi.

Pomimo to, coś go tam ciągnęło; więc nie namyślając się, od odkna skoczył do drzwi, otworzył je i stanął jak wryty. Matki w izbie nie było, a natomiast odezwał się gruby, niechętny głos ojczyma, który siedział odwrócony plecami i nie podnosząc głowy od roboty, zapytał.

— Kto tam!

Stasiek nie odpowiedział, stał we drzwiach zmieszany. Pragnął się cofnąć i pragnął zapytać o matkę.

— No któż tam u wszystkich dyabłów— zaklął ojczym.

Skierował wzrok ku drzwiom, a widok pasierba nie rozjaśnił zmarszczek, fałdujących mu czoło.

— To ty — wyrzekł powoli, ano przyszła koza do woza. Wiedziałem ci ja, że przyjdzie.

Nie ruszał się z miejsca, wprawiając z wielkim trudem łatę do jakiegoś odświę-

z pod prawa, pisma ich—obciążane konfiskatą, studenci—rozpędzani, urzędnicy—dymisyonowani, posłowie wreszcie sami z Izby sejmowej przez żandarmów wywlekani — zwolennicy bana i rządu węgierskiego, mając chwilowo władzę w ręku, używają jéj najsromotniej na pogwałcenie praw własnych ziomków.

Jedna tylko okoliczność wpływa zniechęcająco i osłabiająco na sympatye nasze dla opozycyi chorwackiej, mianowicie forma brutalna, w jaką przyobleka się treść żądań jej najsłuszniejszych. Trudno wymagać od posła, ażeby przestał być człowiekiem i został ślimakiem albo aniołem, wolnym od wszelkich namiętności, aby krew sobie dał wysączyć gorącą albo nerwy powypruwać. Toć krewkość jest nieraz prawdziwą zaletą trybuna ludu i pomocną mu bywa w wielu okolicznościach, w których zimny rozsądek okazuje się niewystarczającym. I nie trudno dowieść tego przykładem, jeżeli życiu politycznemu i agitacyom stronnictw przypatruje się ktoś zbliska. Ale od zapału retorycznego i pełnego godności oburzenia jakżeż daleko do starczewiczowskiego wymyślania od łotrów i złodziei, do owych plugastw tysiącznych, któremi zieją sprośne usta opozycyi chorwackiej! Trudno wprawdzie czasami powstrzymać się na widok sprawcy kradzieży i nie zawołać „złodziej!“ — daje to wewnętrzne zadowolenie—ale mija się z zasadami etyki, kto nie wskazuje palcem, tylko całą rękę wyciąga w stronę ludzi, między którymi chowają się winni. Może to i tych wina, co ich kryją pośród siebie i tolerują — w każdym razie szach za daleko posunięty może nie dać mata.

Nie do nas jednak należy dawanie rad pp. Starczewiczom i Tuszkanom. Jest bezwątpienia i racyi trochę w ich postępowaniu—awanturami w sejmie popularyzują oni bowiem swoje zapatrywania i buntują lud przeciwko madziarom. Ale do czego węgry dążą, wywołując starczewiczowskie burdy—to już doprawdy trudno odgadnąć. „Znajdujemy się na ruinach konstytucyjnego życia Chorwacyi—powiedział poseł Dereneczin—zachwianego z jednej strony wyuzdaniem posłów, a z drugiej niesłychanymi w życiu parlamentarnem gwałtami prezydyum.“ W zwięzłe słowa ujęte spostrzeżenie objektywnego Dereneczina kreślą wcale trafnie i sprawiedliwie położenie Chorwacyi obecne, a zwłaszcza jej stosunki parlamentarne. Węgry zaś jakby z radością spoglądają na ten stan rozprzężenia i dolewają oliwy do ognia, który im jeszcze boleśnie poparzyć może palce. Bądź co bądź bowiem — starczewiczanie zyskują coraz więcej zwolenników, a w sąsiedztwie rozmaitych królestw i księstewek słowiańskich nie trudno o burzę, która jednym powiewem zdmuchnąć może sprawę chorwacko-węgierską z widowni parlamentarnej i plączący się coraz bardziej węzeł ten rozwikłać w sposób więcej prosty — mieczem Aleksandra Wielkiego.

Nie dziś — to jutro.

Rewera.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES LEKARSKI

(w Kopenhadze).

W połowie zeszłego miesiąca odbył się w Kopenhadze międzynarodowy kongres lekarski. Bogactwem i doniosłością poruszonych na nim tematów, liczebnością udziału obcych znakomitości i świetnością przyjęcia przewyższył on wszystkie dotychczasowe. Pod względem cyfry członków (przeszło 3,000), ustąpił tylko londyńskiemu z r. 1882. Podług narodowości najliczniej zjechali się lekarze niemieccy; po nich idą anglicy, amerykanie i francuzi. Otwarcie nastąpiło d. 10 sierpnia po południu i odbyło się z wielką uroczystością wobec całego dworu duńskiego, ministeryum i królewskiej pary greckiej, która bawiła wówczas w Kopenhadze. Otworzył posiedzenie profesor miejscowego uniwersytetu, Panum, tymczasowy prezydent kongresu, którego też obrano rzeczywistym. Na prezesów honorowych powołano: dla Anglii — Paget'a, Mac Cormac'a, Lister'a, Spencera Wells'a, Marshall'a; dla Francyi — Pastuer'a, Verneuil'a, Lepine'a; dla Niemczech — Virchowa, Frerichsa, Volkmanna, Esmarcha, Hirscha i Liebreicha. Posiedzenia podzielone zostały na dwa rodzaje: sekcyjne i ogólne. Pierwsze odbywały się codziennie między 10 a 12 rano i 1 a 3 po południu; następnie rozpoczynały się drugie zaraz o $3\frac{1}{2}$.

Pierwszą sesyę ogólną (d. 11) wypełnił, najciekawszy i najdonioślejszy ze wszystkich, wykład Pasteura *O mikrobach i szczepieniu.* Miał on głównie za przedmiot przedstawienie wyników, prowadzonych przez słynnego badacza w ostanich latach, badań nad wścieklizną i prób jej szczepienia.

Zaznaczając przedewszystkiem fakt, iż wodowstręt nie zjawia się nigdy u żadnego zwierzęcia samodzielnie, lecz że źródłem jego jest zawsze ukąszenie przez wściekłego psa, postawił Pasteur hypotezę, iż przyczynę choroby tworzy pewien rodzaj mikrobów, rozwijających się w gruczołach ślinowych i systemacie nerwowym zarażonego zwierzęcia, a przedewszystkiem w mózgu. Przypuszczenie to jednakże nie zostało jeszcze dokładnie stwierdzone, gdyż dotąd, pomimo usilnych starań, nie zdołał nikt otrzymać owych mikrobów w stanie odosobnionym. Nauka więc nie zna jeszcze dokładnie natury jadu, wywołującego wodowstręt. Truciznę tę szczepił Pasteur setkom psów, królików, świnek morskich itd., za pomocą wstrzykiwania jej w mózg zwierzęcia, i nie spotkał ani jednego wypadku, żeby się choroba nie przyjęła. Doświadczenia te pozwoliły mu wykryć przyczynę, od której zależy siła działania jadu, dająca się już między innemi przewidzieć po długości tak zwanego okresu inkubacyjnego, czyli czasu trwania ukrytego stanu choroby, upływającego pomiędzy zakażeniem, a objawieniem się jej zewnętrznem. Im słabiej działa trucizna, tem czas ten jest dłuższy. Otóż badacz francuski przekonał się, iż w tym względzie rozstrzyga zupełnie *ilość* trucizny wprowadzonej do organizmu, *jakość* zaś jej niema żadnego znaczenia, tak, że jad wzięty od psa, dotkniętego najłagodniejszym rodzajem wodowstrętu, może wywołać u zwierzęcia zakażonego nim najstraszniejsze szaleństwo, gdy zostanie mu wstrzyknięty w dostatecznej ilości. Przeciwnie najsilniejsza nawet trucizna nie sprawiadza żadnego skutku, gdy jej ilość jest bardzo mała, np. $^1/_{200}$ kropli.

Dalej wykazał Pasteur, że przy kolejnem szczepieniu wścieklizny królikom jadem, branym zawsze od królika poprzednio szczepionego, objawy choroby słabną aż do dwudziestego osobnika, następnie zaś siła jej wzmaga się i dosięga swego *maximum* przy 50 szczepieniu. Najważniejszy jednak i najpożyteczniejszy rezultat wydały doświadczenia nad małpami. Kolejne szczepienie wścieklizny tym zwierzętom tak znakomicie wpływa na zmniejszenie siły jadu, iż choroba, przeniesiona z nich na in-

---

tnego czarnego tużurka. Jego grube obwisłe wargi uśmiechały się złośliwie.

— No cóż, poznałeś biedę, weźmiesz się teraz do igły, inaczej chleba nie będzie, jak mi Bóg miły — nie będzie.

Stasiek wlepił w ojczyma swoje ptasie oczy. Coś zaczynało się w nim burzyć.

Ojczym właśnie skończył pracowicie wprawioną łatę, wstał, położył tużurek na łóżku, a że chłopak stał ciągle we drzwiach, zbliżył się do niego powoli i wyciągnął rękę w posób dobrze znany Staśkowi, kiedy go brał za ucho. Odwykł on już był od tej operacyi i cofnął się instynktownie, choć może ojczym tylko chciał drzwi zamknąć.

— No cóż — wyrzekł łagodniej, pewien, że pasierb powracał przejęty uczuciem skruchy i gotów wspaniałomyślnie przyjąć go do łaski, zważając zapewne z jednej strony, że pokuta była dość długą, a z drugiej, żeby mu się przydał bezpłatny pomocnik. No cóż, weźmiesz się teraz do igły?

— Niedoczekanie twoje!—wrzasnął Stasiek, chwytając za klamkę.

Ojczym osłupiał zrazu, potem blade jego policzki zaczerwieniły się gwałtownie.

— A to idź sobie na złamanie karku — zawołał tak głośno, że aż przebudził się mały Franek w kołysce i zmieszał płacz swój z krzykiem ojca i brata.

Scena rodzinna brała obrót niespodziewany. Prosty akt uczuciowy Staśka wzięto za akt skruchy, do której się nie poczuwał, i byłaby się ona rozegrała może smutniej jeszcze, bo ojczym chciał czynnie swego gniewu dowodzić, a Stasiek umknąć nie zdołał, spotkawszy niespodzianą trudność w otwarciu drzwi—gdy ukazała się w nich jego matka.

— A też co! — zawołała przestraszona.

Ojczym ochłonął trochę, tem bardziej, że Stasiek korzystając z tej niespodzianej interwencyi, schował się tymczasowo za matczyną spódnicę.

— To ten niepoń, ten próżniak! — narzekał krawiec, sapiąc jeszcze gniewnie.

Matka nie pytała o nową zbrodnię Staśka; nie rozumiejąc, co zrobił, powtórzyła za mężem zwykłe słowa.

— Skaranie boskie.

Gdyby jednak w tej chwili była spojrzała na syna, zobaczyłaby w jego oczach taki smutek, iż zapewne usta wymówiłyby łagodniejsze słowo. Ona jednak na niego nie spojrzała, bo rozkrzyczany Franio wyciągał do niej rączki.

Stasiek też nie czekał dłużej. Próba zgody rodzinnej wpadła niefortunnie. Nie zatrzymując się pod oknem, przebiegł dziedziniec i znalazł się na ulicy.

Szare chmury, rozwieszone na niebie, sypały teraz śniegiem gęstym i grubym; powietrze pełne było białych płatów, które kręciły się w niem nakształt białego puchu, tylko puch ten był lodowaty, przywierał do ciała i mienił się w wielkie krople wody. Chłopak w swojem nędznem ubiorze, drżący od stóp do głowy, myślał o tej ciepłej izbie, z której go wygnano i o matce także, co nie powiedziała mu jednego dobrego słowa. Serce mu się ściskało, płynęło coś po twarzy i nie wiedział sam, czy to były łzy, czy śnieg topniejący.

Trwało to jednak krótko.

— Co mi tam — szepnął przez zaciśnięte zęby.

Przypomniał sobie, że miał rubla, który pozostał dodąd w jego pięści ściśniętej. Podniósł głowę i roześmiał się, pokazując białe zęby.

— Z tem przecie nie zmarznę — powiedział do siebie.

Przechodził właśnie koło szynku, w którym słychać było katarynkę i gwar ludzkich głosów. W szynku Stasiek bywał już nieraz, bo gdzież miał się rozgrzać, kiedy mu zimno dokuczyło. Wsuwał się tam jednak zwykle nieśmiało, jak to czynią biedacy, bo nie zawsze mógł zapłacić za kieliszek wódki; dziś za to wszedł z podniesioną głową, miał za co używać i jeszcze mógł drugich częstować.

Kiedy szynk zamknięto, był w dobrem koleżeństwie ze stróżem, który spał w sieni na tapczanie i przygarnął go pod swój kożuch. Nad ranem przecież trzeba było wynosić się z sieni. Stasiek czuł jakąś dziwną ociężałość i zawrót głowy. Zimowe słońce wschodziło czerwono, mróz ściął śnieg topniejący w nocy i zamienił ulice w zdradliwe tafle lodu, na których ślizgali się przechodnie. Stasiek próbował sunąć

ne zwierzę, np. królika lub psa, nie wywołuje śmierci. Nadto im od dalszego — w szeregu zakażanych kolejno małp — osobnika bierzemy jad, tem słabsze wywołuje on objawy, czyniąc jednak zawsze zwierzę, któremu raz go zaszczepiono, niedostępnem dla wścieklizny. To naprowadziło Pasteura na myśl ochronnego jej szczepienia zwierzętom, podobnie jak to już oddawna ma miejsce z ospą.

Pragnąc nadać zupełną powagę swoim doświadczeniom, uprosił Pasteur francuskiego ministra oświaty, Fallières'a, o wydelegowanie osobnej komisyi, któraby dokonane przez niego odkrycia sprawdziła, i wobec wydelegowanych w tym celu uczonych: Pawła Berta, Béclarta, Boulaya, Tisseranda, Villemène'a i Vulpiana, zakaził wścieklizną, już to za pomocą sztucznego zaszczepienia jej, już przez pokąsanie wściekłego psa, 46 psów, z których 23 było już ubezpieczonych opisaną wyżej metodą. Otóż z tych ostatnich nie podległ wodowstrętowi ani jeden, podczas gdy przeciwnie — z pozostałych żaden nie ocalał.

Pomimo tak świetnych jednakże wyników doświadczeń Pasteura, o szczepieniu ochronnem wścieklizny *ludziom* nie można do dziś dnia nawet myśleć. Nie znana też jest jeszcze dotąd żadna skuteczna metoda leczenia dotkniętych tą chorobą.

Następnych dni na posiedzeniach ogólnych mówili: profesor Crudeli z Rzymu „O powstawaniu materyi i polepszeniu stanu zdrowotnego okolic przez nią dotkniętych;“ prof. Verneuil z Paryża „O nowotworach organicznych;“ sir William Gull z Londynu „O międzynarodowych instytucyach dla badania chorób;“ prof. Virchow z Berlina „O metaplazyi“ i prof. Panum z Kopenhagi „O żywieniu człowieka zdrowego i chorego ze szczególnem uwzględnieniem pielęgnowania chorych w szpitalach i więzieniach.“ Wykłady te zbyt są specyalne, by treść ich mogła zająć szersze koło czytelników *Prawdy*, dlatego poprzestajemy jedynie na powyższej wzmiance.

Posiedzenia sekcyjne daleko większą niż ogólne mogły przynieść korzyść członkom kongresu dzięki temu, iż dozwolone na nich były rozprawy nad kwestyami poruszanemi w przedstawianych referatach. Ścieranie się różnych poglądów i opinij, bronionych i atakowanych przez uczonych specyalistów, pozwalało słuchaczom wyrobić sobie krytyczne zdanie i chroniło ich od konieczności wierzenia *in verba magistri*.

W wykładach z dziedziny anatomii, histologii i embryologii przejawiał się wyraźnie wpływ na te nauki teoryi Darwina, zdradzający się w dążeniu do dokładnego zbadania i określenia tego związku, jaki istnieje między budową organów i tkanek u dorosłej jednostki, czyli w ich skończonym kształcie, i zaczątkowym ich stanem u zarodka, oraz—genetycznego pokrewieństwa między organizmami różnych przedstawicieli królestwa zwierzęcego.

Ten sam, wzmiankowany wyżej wpływ, ujawnił się w żądaniu prof. Hensena z Kiel, ażeby do kursu fizyologii dodać rozdział o dziedziczności. Ciekawą nowość udzielił członkom tejże sekcyi prof. Munk z Berlina. Wykrył on mianowicie w półkulach mózgu nowy środek, regulujący akt siedzenia. Zniszczenie tego środka, czy to wskutek choroby, czy sposobem sztucznym, nie pozwala nam odbywać tej funkcyi.

W sekcyi chorób dziecinnych zasługuje na podniesienie zajmujący referat doktora Rauchfussa „O ważnem znaczeniu klinik pedyatrycznych w sprawie szerzenia hygienicznych pojęć wśród ludu prostego.“ Szczególną uwagę poświęcił prelegent tak zwanym *dispensaires*, czyli lecznicom dla przychodzących dzieci chorych, które pozostają tam pół dnia, lub dzień wraz z matkami. Te ostatnie przypatrując się rozmaitym czynnościom, stosowanym w leczeniu, a nawet biorąc w nich udział czynny, mają tym sposobem możność przygotowania się do należytego pielęgnowania swego potomstwa w chorobie. Wogóle Dania robi bardzo wiele dla zdrowia swych nieletnich obywateli. Posiada ona liczne „stacye sanitarne, morskie,“ z których „morski szpital dziecinny“ w Refsnaes uznany został przez lekarzy, co go zwiedzili, za najlepszy tego rodzaju zakład w całym świecie. Założenie go kosztowało 300,000 koron (około 160,000 rs.), a wydatki na utrzymanie dochodzą do 68,000 koron corocznie.

W Danii to najprzód, jeszcze przed 30 laty, powstały tak zwane „kolonie wakacyjne“ dla dzieci ludzi biednych, przeszczepione do nas od lat paru przez d-rów: Markiewicza i Fritschego. Obecnie korzysta tam z tego dobrodziejstwa 7,900 dzieci, a cały kraj liczy zaledwie około dwu milionów ludności! Kiedy to my będziemy wysyłali — nie mówię już — odpowiednią, ale bodaj taką samą liczbę dzieci? Mam smutne przeczucie, że... nieprędko.

Wypada mi jeszcze nadmienić słów kilka o przyjęciu, jakiego doznali kopenhadzcy goście. Wspomniałem już na początku, że było ono świetne. Wolna od posiedzeń godzina południowa przeznaczona była na śniadanie, które duńscy lekarze własnym kosztem urządzili dla swych gości zagranicznych. W tym celu na pięknym placu przed szkołą teczniczną rozpięto wielkie namioty, pod którymi na olbrzymich stołach ustawione były wszelakiego rodzaju potrawy i napoje. Wspaniałe to śniadanie kosztowało podobno tamtejszych eskulapów na każdego z gości po 50 koron (około 30 rs.). Przedstawiało ono najlepszą sposobność dla zbliżenia się członków zjazdu i zawarcia znajomości. Cały plac okolony był flagami wszystkich narodowości, biorących udział w kongresie, z wyjątkiem tylko niemieckiej. Trzeba przyznać, iż był to nietakt ze strony komitetu, gdyż pole nauki jest dziedziną kosmopolityczną, do której żadne waśnie narodowe dostępu mieć nie powinny, a przytem na tem polu niemcy położyli niezaprzeczone zasługi. Pomimo to jednakże fakt powyższy dobrze charakteryzuje tę głęboką miłość, jaką sobie kulturtregerzy z nad Spreii wszystkich narodów zjednali.

Środa, d. 11 sierpnia, przeznaczona została na wycieczkę morzem do zamku Kronborg, która dzięki sprzyjającej pogodzie powiodła się najzupełniej. Na brzeg morski wyległa cała ludność Helsingör w świątecznych szatach i licznemi wiwatami powitała przybijające do lądu okręty z gośćmi. Na zamku przez cały czas pobytu kongresowiczów wygrywała kapela wojskowa najrozmaitsze hymny narodowe, znowu z wyjątkiem tylko — niemieckiego.

Następnego dnia wieczorem wydało miasto Kopenhaga swoim gościom wspaniały obiad, w zbudowanym umyślnie na brzegu morza, kolosalnym baraku. Po skończonym obiedzie przewiozły ucztujących trzy wielkie parostatki do sławnego „Tivoli,“ którego ogród tak czarownie został oświetlony, iż ogólny wzbudził podziw.

W piątek wieczorem odbyło się wielkie przyjęcie u króla na zamku Christiansborg, na które zaproszeni zostali wszyscy członkowie kongresu. Wszyscy ubrani byli po cywilnemu. Nawet królewic, duński i grecki, i książęta przywdzieli skromne fraki

---

się po rynsztoku, niby na sadzawce, ale nogi mu drżały i o mało nie upadł; nie zważał na to, pobiegł po zwykłe zapasy Kuryerów i stanął na swojem stanowisko przy stacyi tramwajowej.

Ruch miejski rozpoczynał się leniwo, wysypywano ulice piaskiem, trocinami, pomimo to ludzie padali często. Konduktorzy ostrożnie chodzili po stopniach wagonów, konie ostro nie podkute ślizgały się, wagony wychodziły z kolei. Stasiek, nie zważając na to, gotował się sprzedawać swój towar i czepił się wagonu.

— Ostrożnie mały!—przestrzegał go konduktor.

— Ostrożnie — powtórzył urągliwie chłopak—owa! bo to mi pierwszyzna!

— Ślisko! Spadniesz — pilnuj się!

— Pilnuj się pan sam!

W głowie mu się kręciło, szumiało w uszach, wzrok był mglisty i niepewny, ceglasto rumieńce wystąpiły mu na twarz mimo przejmującego mrozu, czuł jakąś mdłość i razem podnietę; im niepewniejsze były ruchy, tem więcej brała go chętka do dziwnych skoków, do wybryków gorączkowych.

— Hej! — zawołał do współtowarzyszów, widząc zbliżający się wagon od Bielańskiej ulicy — kto pierwszy do niego dolci i wskoczy.

Ale żaden z chłopców nie miał ochoty na ryzykowną próbę.

— Daj pokój Stasiek — szepnął jeden— dziś nie można, ślizgota taka, że niech ją...

— Aha! boisz się — zawołał konik polny, któremu oczy zabłysły.

Spojrzał po obecnych, jakby zapytywał, czy ten zarzut nie poskutkuje; widocznie jednak współtowarzysze nie mieli rozwiniętej ambicyi, albo też mieścili ją w czem innem, bo żaden nie ruszył się z miejsca, a tymczasem wagon wynurzył się z po za węgła ulicy, skręcił na plac i szedł prosto ku nim, kołysząc się zlekka na obślizgłych szynach.

— Raz, dwa trzy — zawołał Stasiek, zrywając się do biegu — kto za mną!

Jeden z chłopców, zwinniejszy od innych, podbiegł i zwalił się o parę kroków jak długi. Stasiek był szczęśliwszy, dopadł wagonu, uchwycił się go, nie zdołał jednak skoczyć na stopień, noga obsunęła mu się tak nieszczęśliwie, iż dostała się pod koło i drugą pociągnęła za sobą. Dał się słyszeć krzyk nieludzki. Wagon wstrząsnął się lekko, coś pod nim zachrupało i biegł dalej, zostawiając za sobą ciało chłopca z odciętemi kolanami i krwią znaczące bieg swój na białem posłaniu śniegu.

Dopiero wówczas jękowi Staśka zawtórował krzyk ogólny wszystkich obecnych. Pobiegli do niego, leżał bez czucia ze starym mundurkiem, otwartym na piersiach, z twarzą siną, zwróconą ku niebu a włosy w nieładzie okrążały jego głowę i zaledwie dostrzedz było można z pod nich oczy zamknięte. Krew płynęła wielką, rumianą strugą ze zdruzgotanych członków.

Pochwycono go z ziemi, zawołano dorożkę, układając w niej martwe już prawie ciało; na chwilę tylko otworzył wielkie swe ptasie oczy teraz bez blasku, jakby się w nich snuły jakieś obrazy widzialne tylko dla niego.

— Mamo! —szepnął zaledwo słyszalnym głosem.

Zatoczył wzrokiem w około, jakby jej szukał przy sobie, raz jeszcze wargi poruszyły się słowem zaczętem: mamo. Skończyć go jednak nie zdołał, drobne członki wyprężyły się konwulsyjnem drgnieniem, źrenice zaszły bielmem.

Kiedy dojechano z nim do szpitala — nie żył.

Wieść ta doszła niebawem do jego matki, złe wieści dochodzą zwykle z niepojętą szybkością. Usłyszawszy ją, chciała zezwyczaju zapewne zawołać: Skaranie boskie! Ale urwała nagle, spojrzała z pod oka na męża i rozszlochała się tak gwałtownie, że nie zważała nawet, jak mały Franek wyciągał do niej tłuste rączki.

W. Marrené.

---

bez żadnych ozdób. Tylko lekarze rosyjscy, austryaccy i niemieccy zawiesili na klapach ordery. Korespondent jednej z gazet robi uwagę, że nie jeden z tych zwolenników urzędowych odznaczeń nie zabrał z sobą fraka i musiał go dopiero wynająć, lecz o orderach żaden nie zapomniał.

Uroczystości zakończyła uczta pożegnalna, wydana przez miasto. Powiodła się ona najlepiej ze wszystkich zabaw, dzięki udziałowi w niej płci nadobnej. Obecność jej skłoniła zalotnych synów Eskulapa do zaimprowizowania balu, który wbrew programowi trwał do rana.

Z polaków brali udział w kongresie doktorowie: Adamkiewicz, Benni, Dogel, Gałęzowski, Gostyński, Hering, Jakubowski, Kosiński, Lewandowski, Mikulicz, Opęchowski, Ponikło, Szaltner i Wicherkiewicz. Z pomiędzy nich zabierali głos na posiedzeniach sekcyjnych: prof. Adamkiewicz „O znaczeniu rdzenia przedłużonego.“ Kosiński „O operacyi wycięcia nerek“ i Mikulicz „O różnych postępowaniach antiseptycznych.“

Jak donosi *Russkij Kurier* lekarze czescy wspólnie z polskimi wydali po skończonym kongresie ucztę składkową, na której wnoszono liczne toasty za braterstwo tych dwu pokrewnych narodów.

Skutkiem zaproszenia lekarzy amerykańskich członkowie kongresu kopenhadzkiego ustanowili na miejsce przyszłego zjazdu, mającego się odbyć we wrześniu r. 1887 — Waszyngton.

X. X.

LISTY PETERSBURSKIE.

24 sierpnia.

Dwojakie wyścigi. — Czy warto? — Okólnik p. ministra. — Polemika p. Katkowa i komiczna rola p. Awsiejenki. — Wąż morski, czyli polska intryga. — Listy Milutyna i praca p. Sinniczenki. — Miesięczniki i beletrystyka. — Pomnik Puszkina.

Skończyły się wreszcie carsko-sielskie wyścigi, gdzie podobno nadwiślańskie, a z Anglii sprowadzone konie, zwyciężyły przeszkody i dodały nowego blasku historycznym nazwiskom swych szczęśliwych posiadaczów. Zaczynają się jednak wkrótce daleko ciekawsze wyścigi z przeszkodami t. j. walka o miejsce wolne w specyalnych zakładach technicznych. Wkrótce rozpoczną się egzamina, a na ulicach Petersburga można spotkać już wielu przyszłych zapaśników. Chodzą gromadkami, postrojeni w długie paletoty, w kapelusze z ogromnemi rondami, dźwigając w ręku grube pałki, słowem, w ten typowy ubiór rosyjskiego studenta, który jakoś już w Petersburgu wyszedł z mody, jest jednakże dotychczas przedmiotem marzeń dla prowincyonalnych gimnazistów. Między nimi pewno jest wielu polaków. Czy się popiszą na tych wyścigach, tak jak rumaki, przewidywać trudno? Zresztą koniom polskim specyalnych przeszkód nie stawiano, kandydatom zaś, zdającym do specyalnych zakładów, grozi 5% w Instytucie komunikacyi i 10% w Instytucie górniczym, gdzie niema więcej nad 30 wakansów. Słowem pole do popisu najeżone trudnościami, a tymczasem, rzadko kto z kończących zakłady techniczne w Petersburgu otrzymuje posady w kraju. Wymaganiom przemysłowców naszych tutejsze wykształcenie techniczne inżenierów widocznie nie odpowiada, posiłkują się oni zagranicznymi wychowańcami, ryskiej Politechniki, lub nawet ludźmi, posiadającymi tylko wiadomości praktyczne. Bądź co bądź z tym faktem liczyć się potrzeba. Reformy w tutejszych zakładach technicznych, (które mają się przekształcić na wzór zagraniczny) zapewne nie prędko nastąpią; nasuwa się tedy pytanie, czy warto odbywać wyścigi ze specyalnemi przeszkodami, aby potem dobrowolnie wędrować w okolice Sachalinu i Kamczatki?

Za to spełnią się inne reformy w dziedzinie oświaty narodowej. Mówię tu o okólniku p. ministra oświaty do kuratorów okręgów naukowych. Okólnik podaje obowiązki gospodarzy klasowych, którzy powinni czuwać nietylko nad postępami uczniów, ale i nad wychowaniem ich w zasadach religii, moralności i przywiązania do tronu. W tym duchu wyjdą już ministeryalny okólnik w r. 1872, o którym *Prawda* pisała, dlatego zwracam tylko uwagę na § 7, nadający dyrektorowi wielką władzę dyskrecyonalną: „Jeżeli — czytamy tam — dyrektor uważa pobyt ucznia w domu rodzicielskim za szkodliwy dla celów naukowych, to obowiązany jest skłaniać rodziców, aby dzieci swe umieszczali na wzorowych stancyach.“ Jakie wpływy może p. dyrektor uważać za szkodliwe i jakie skutki będzie pociągała za sobą odmówna odpowiedź rodziców, praktyka to dopiero okaże.

Ten okólnik, również jak ustawa o szkołach cerkiewno-parafialnych i dodatek do ustawy fabrycznej, przeszły niepostrzeżenie, chociaż jako przejawy działalności rządowej powinny by zajmować społeczeństwo; fakt natomiast prostego wykonania praw istniejących stał się przedmiotem ogólnej uwagi. Senat rządzący uchylił protest kazańskiego gubernatora przeciwko postanowieniom tamtejszego ziemstwa. To rozporządzenie wywołało ostrą krytykę ze strony p. Awsiejenki radaktora *S. Petersikich Wiedomostiej* i namiętny, jak zwykle, artykuł p. Katkowa, który nie wahał się zarzucić Senatowi umyślnej, „anti-rządowej“ opozycyi. P. Katkow, pomimo wielokrotnych sprzeczności w poglądach, pozostaje jednakże wiernym swej zasadzie (rząd dla rządu), przytem wcale mu nie zbywa na śmiałości, ani na polemicznej werwie. Zwykłe jego artykuły jaskrawe i dosadne w formie spotykają się z dość nieudolną polemiką; teraz jednakże stało się inaczej, a, co najważniejsza, że najsilniejsze pociski p. Katkowowi zadało *Nowoje Wremia*. Komiczną stroną tej walki dziennikarskiej jest dobrze wyzyskana przez organ Suworyna tożsamość poglądów p. Katkowa i znanego nihilisty Ławrowa na uroczystości pogrzebowej Turgieniewa, oraz rola p. Awsiejenki, który nadaremnie wtoruje moskiewskiemu publicyście, a nikt go na seryo nie chce traktować. *Nowoje Wremia* nazwało go lokajem p. Katkowa i rozpisało się o „głupiej głowie“ (sic) z zapleców tegoż wyglądającej.

Gdyby nie ta polemika, to dotychczas znać by było na piśmiennictwie rosyjskiem porę wakacyjną. W prasie panowała cholera *cum attinentibus* i narzekania na sezon ogórkowy. Z nudów nareszcie zaczęto wyszukiwać węża morskiego t. j., przepraszam, dziennikarska tradycya w Rosyi uległa zmianie i zamiast węża morskiego występuje znana „intryga.“ Wytropił ją naprzód p. Kojałowicz, który, mając dużo wolnego czasu, jak zwykle na wakacyach, odczytał wreszcie dzieło *Żiwopisnaja Rosja*, będące w handlu księgarskim od 1882 r. Obok p. Kojałowicza wystąpił i p. Aksakow, potem pewien Białorusin użalał się na to, że go polacy ciemiężą, wreszcie ruszyła jakaś amazonka na Litwę i złajała w wagonie chłopa za polską książkę do nabożeństwa. W ślad za tem *Russkij Strannik* pod zagłówkiem „Bojujący katolicyzm w Polsce“ pisał o szerzeniu się kontrabandy i szwarcowaniu wódki z Galicyi. Cały ten ruch trąci jakąś straszną starzyzną.

Nie nowy także, bo przed dwoma laty zamieszczony w *Revue des deux mondes* artykuł drukuje *Nowoje Wremia* o Milutynie. Daleko ciekawszymi są oryginalne listy Milutyna w *Russkoj starinie*, a także wspomnienia z owych czasów pewnego gubernatora. Rzucają one ciekawe światło zarówno na samą osobistość Milutyna, jak i na zakulisową walkę, która się między nim a hr. Bergiem, stronnikiem autonomii, toczyła. W tymże numerze *Russkoj stariny* wydrukowano wreszcie rozprawę p. Sinniczenki pod tytułem „Stosunki między Rusią i Polską do XIV w.“ Publicznie bronił się autor z wielką erudycyą; w czytaniu praca jego nie sprawia najmniejszego wrażenia; może dlatego, że jest to tylko ogólnikowy wyciąg z poważniejszego dzieła. Zasadnicze poglądy p. Sinniczenki można wyrazić w następujących słowach: 1) Aby zrozumieć przyczyny zatargu polsko-rosyjskiego, potrzeba śledzić je od początku. 2) Do XII wieku nie może być mowy o cywilizacyjnym wpływie Polski na Ruś. 3) Stosunki międzynarodowe ograniczają się do wzajemnego wspomagania się panujących dynastyj, które wogóle żyły z sobą przyjaźnie, jak o tem świadczą liczne związki małżeńskie. 4) Do XIV wieku rozwój Rusi był zupełnie samodzielnym, a nawet bojarstwo galicyjskie jest wytworem miejscowym. 5) Z początku nie było żadnej plemiennej nienawiści między rusinami a polakami, a zatarg rozpoczyna się dopiero w XIV wieku wskutek przyczyn ekonomicznych i religijnych, mianowicie szlachecko-katolickiej polityki polskiego rządu. Jak widzimy, żadnych nowych poglądów ta rozprawa nie podaje, a praca p. Sinniczenki może dopiero w szczegółowem opracowaniu nabrać historycznej wartości. Dotychczas, to wodniste ogólniki.

Zresztą, jak powiedziałem, piśmiennictwo rosyjskie za ubiegłe dwa miesiące znakomicie puste. W handlu księgarskim zastój, a najruchliwsza firma p. Suworyna, według zasady, że wszystko nowe zestarzało, a wszystko stare odmładza się, wydaje *Iliadę* Homera, komedye Fon-Wisina i Gribojedowa i wcale nieznakomite utwory Nareżnaho. Miesięczniki odkładają bardziej interesujące artykuły na jesień i drukują tak czczo rzeczy, jak praca p. Słonimskiego o „socyalizmie państwowym“ w *Wiestniku Jewropy*, lub zapełniają swe kartki przestarzałą kroniką i nowożytną rosyjską beletrystyką. Co się tyczy pracy p. Słonimskiego, którą *Kraj* spolszczył, to oprócz górnolotnych frazesów, całą jej zasługę stanowi streszczenie poglądów Rodbertusa, znanego czytelnikom *Prawdy*. Lassale daleko mniej. Wagner prawie nieuwzględniony, o innych niemieckich i angielskich pisarzach nie ma nawet wzmianki. Ten zaś balast beletrystyczny przedstawia także bardzo średnią wartość. Nie przeczę, iż są zwolennicy nowożytnej szkoły rosyjskiej, ale nie znam nikogo, ktoby lubił jednego jakiegoś badacza. Rzecz prosta, wszyscy ci autorowie nie mają indywidualności; p. Barancewicz pisze tak, jak p. Albow, lub p. Lewitow etc. Słusznie powiedział jeden z krytyków, iż właściwie nie jest to beletrystyka, ale zmudna i niewdzięczna praca nad przedstawieniem ludowego bytu. Ma ten kierunek swoje niezaprzeczone zalety, ale gdy kto z fotografów ludowego życia opuszcza pewny grunt, wnet wychodzi na jaw jego osobista nieudolność. W ostatniej powieści p. Barancewicza cała akcya, a nawet pojedyncze opisy są tylko niezgrabnem kopiowaniem znanych mistrzów, jak Tołstoja, Dostojewskiego i innych.

Najważniejszym faktem ubiegłego tygodnia jest odsłonięcie pomnika Puszkina. Uroczystość odbyła się skromnie, zbyt może nawet skromnie, jak na stolicę. Z inteligencyi było bardzo niewiele osób, z głośniejszych literatów jeden p. Majkow, kilkadziesiąt bab i tyleż „prykaszczyków.“ Po nabożeństwie z wielkim trudem zdjęto płótno, pokropiono pomnik wodą święconą i... koniec.

Miejsce w ciasnej ulicy i na malutkim placyku wybrano fatalne. Pomnik wysoki wraz z piedestałem około trzech sążni. Na

piedestale kilka napisów z dzieł Puszkina. Poeta przedstawiony z założonemi rękami, z wyrazem siły i stanowczości. Wyraz ten był obcym twarzy znakomitego poety, jak to widać z wiernie wykonanych podobizn jego, w *Russkoj Starinie* umieszczonych. Zupełnie także niewłaściwie czoło jest zbyt odsłoniętem. U Puszkina, którego matka pochodziła od Hannibala (nie kartagińczyka, ale murzyna przy dworze Piotra Wielkiego), gęste kędziory włosów zakrywały prawie całe czoło.

W. Ż.

PIŚMIENNICTWO ROSYJSKIE.

Kijewskaja Starina, jeżemiesiacznyj istoriczeskij žurnał. Kijów, rok (trzeci) 1884. Redaktor i wydawca T. H. Lebedincew.

Trzeci już rok istnienia liczy miesięczne pismo kijowskie, poświęcone wyłącznie historyi Rusi (południowej Rosyi), przeważnie obyczajowej, oraz archeologii i etnografii. Nie zna go wszakże literatura polska, a ta obojętność nie jest ani zasłużoną, ani roztropną. Wogóle historyografia polska w sprawach, dotyczących Rusi, przybrała dość dziwne stanowisko; pomija wszystko, co wydano lub wypracowano przez autorów rosyjskich lub rusińskich.

Nie przeczę, że w wielu razach źródła pewnej kliki mogą być podejrzane, ale jeśli odnoszą się do dziejów naszych, tem bardziej godne są uwagi, chociażby dla zdemaskowania fałszu. Był np. niejaki Srezniewskij, wydawca sławnej niegdyś *Zaporoskiej stariny*, w której zamieścił masę zabytków literatury ludowej, mających znaczenie historyczne. Najwięcej wrzawy narobiły sławne jego dumy, pieśni i legendy historyczne rusińskie, zebrane od wymierających starych ludzi i śpiewaków. Panowie Maksimowicz i Kulisz, znawcy rzeczy rusińskich, zdumieni odkryciami p. Srezniewskiego przedrukowywali, objaśniali i unosili się nad ważnością owych pomników. Lecz zarazem kilka krytycznych uwag było dostatecznem, aby cała robota p. Srezniewskiego uznaną została, ni mniej ni więcej, tylko za zbiór fałszerstw, podrobionych we własnym gabinecie etnografa-spekulanta. Przepatrując obecnie te nędzne i niezgrabne roboty, doprawdy dziwić się wypada, jak one mogły tak długo wprowadzać w błąd znawców. Panowie Antonowicz i Drogomanow w znakomitej swej pracy *Historyczne pieśni narodu rusińskiego* bez ogródek nazywają je sfałszowanemi. Przyłapać fałszerza dość trudno, gdyż sprawdzenie źródła jest częstokroć niemożliwem; pozostaje tylko porównawcza i etnograficzno-historyczna krytyka, która wszakże często wobec zręczności podrabiacza staje się bezsilną. Inaczej się rzecz ma w historyografii, gdzie nadzwyczaj łatwo sprawdzić cytaty, lub wydane dokumenty z oryginałami, zawsze dostępnymi dla uczonego. Nie zważając jednak na to, historycy polscy nietylko nie korzystają z prac rosyjskich i rusińskich, lecz nawet, jeśli je zawątpliwe uważają, nie zadadzą sobie trudu udowodnienia swych podejrzeń. Tak np. Archeograficzna komisya kijowska wydała kilkadziesiąt grubych tomów rozmaitych aktów, leżących w Uniwersyteckiem centralnem archiwum, dotyczących wewnętrznych dziejów Rusi. Można się nie zgadzać z poglądami, wypowiedzianymi przez redaktorów w ich wstępnych monografiach, lecz same akty, o ile są prawdziwe, stanowią nadzwyczaj cenny, niezbędny materyał. A jednak literatura polska nie otworzyła im swoich drzwi. Najwyżej dwu lub trzech autorów i to drugorzędnych odważyło się przyznać publicznie do znajomości z wyklętem wydawnictwem kijowskiem. Zapewne, tomy materyałów, poświęcone stosunkom krajowym rolnym, hajdamaczyznie, grodom, miasteczkom itp. nie mogą się podobać tym, którzy ideał szczęśliwości narodu widzą w przywilejach szlacheckich, żydowskiej arendzie i sutannie; na rachunek też podobnych sympatyj należy odnieść w znacznej części zapoznanie literatury ruskiej, która znowu natomiast w każdej ważniejszej pracy upstrzoną jest cytatami polskiemi.

Mamy wielką pretensyę do znawstwa w rzeczach rusińskich, piszemy nawet na tle polsko-rusińskich stosunków „epopeję narodową“ *Ogniem i mieczem* (wybacz mi czytelniku to wyrażenie w stylu hr. Tarnowskiego); jakże komicznie wyglądamy w oczach krajowca, gdy w tej *epopei* rusini rozmawiają po rosyjsku, a kozacy chórem w pochodzie dumę śpiewają. Zapewne, podobnie komiczne błędy w tej cudackiej epopei należą do mniej ważnych, dowodzą wszakże, że twórca nie zna abecadła etnografii narodu, o którym pisze. Smutno doprawdy, a musimy się zgodzić z rusinami, że ich zupełnie nie znamy, chociaż dobrze wiemy, że nie ma żyżniejszych pól nad ukraińskie i że błogo by nam tam było, gdyby nie ta skłonność chłopska do święconego noża i hajdamactwa.

Nic więc dziwnego, że i kijowski historyczno-etnograficzny organ uszedł uwagi polaków, których wzrok tylko pod pewnym ciasnym kątem na Ukrainę zwrócony. Czynię więc wielką herezyę, proponując polskiemu czytelnikowi chociaż dorywcze sprawozdanie o *Kijewskiej starinie* za ubiegłe półrocze. Czynię to tem chętniej, że podobnego wydawnictwa w naszej literaturze nie mamy. Trzyletnie jego istnienie, przy bardzo dostępnej cenie, dowodzi, że stanowi ono potrzebę publiczności. Wartoby tedy dowiedzieć się, czem zadawala redakcya te potrzeby i jakie drogi sobie obrała.

Każdy zeszyt (in 8-o do 12 ark. druku) ma trzy działy. W pierwszym mieszczą się rozprawy naukowe, nowe materyały historyczne i etnograficzne, beletrystyka historyczna itd. Drugi dział obejmuje bibliografię, a trzeci notatki i wiadomości historyczno-literackie, etnograficzne i historyczne.

Z liczby opracowań zwracają uwagę na siebie następne: „Ludzie starej Małorosyi“ (Markowicze) p. Al. Łazarewskiego, „Żmijowe wały w granicach ziemi kijowskiej“ z mapą prof. W. Antonowicza, „Pierwsze kozackie rozruchy w Rzeczypospolitej“ (1591—1596) T. Nikołajczyka, „Liczba i porządek Siczy zaporoskich“ p. D. Ewarnickiego, „Topograficzny zarys Zaporoża“ togoż, „Przyczynek do kwestyi o scytach królewskich“ T. Miszczenka. Wszystkie te artykuły, jak widzimy, odnoszą się wyłącznie do Rusi, a mianowicie przeddnieprzańskiej, oprócz pierwszej pracy p. Łazarewskiego, stanowiącej piątą z rzędu między poświęconemi rozmaitym ważniejszym rodzinom zadnieprzańskim. Autor z talentem, na podstawie materyałów dziejowych i archiwów rodowych, odtwarza postacie zeszłowiecznych panów ruskich, nie szczędząc im barw ponurych i wcale nie idealizując ich magnacko-szlacheckich instynktów. W sprzedajności i drapieżności wcale nie ustępowali naszej dawnej szlachcie. P. Łazarewski włada nadzwyczaj bogatym i różnorodnym zasobem naukowym, traktuje go sumiennie i spokojnie, bez żółci. Można tylko zarzucić jego szkicom rąbany, twardy styl, oraz nadzwyczaj suchy, bezbarwny ton. Zapewne, cytaty i wyciągi przemawiają najwymowniej, lecz na tem traci poczytność. Pod tym względem wyżej stoją szkice d-ra Antoniego J.

„Pierwsze kozackie rozruchy w Rzeczypospolitej“ p. Nikołajczyka wykazują niepośledni zdolności młodego historyka. Widząc w dawniej wydanych pracach o tym przedmiocie pewne usterki, wynikłe albo z powodu polemicznych celów autora (Kulisz), albo z braku źródeł wydanych w czasach późniejszych (Antonowicz, Kostomarow), autor zwraca się wyłącznie do źródeł pierwszej ręki: aktów i świadectw, współczesnych opisywanym wypadkom. W liczbie tych źródeł spotykamy *Kronikę* Bielskiego, *Dziennik* E. Lassoty, *Dzieje Polski* Heidensteina, *Archiw jugo-zapadnoj Rossii*, cz. III, t. I aktów o kozakach i po raz pierwszy, zdaje się, w rosyjskiej literaturze, *Listy* St. Żółkiewskiego i in. Autor dzieli swą pracę na dwie części: „Wojna Kosińskiego“ i „Bunty Nalewajki i Łobody.“ Nie zadawala się opisem zewnętrznych objawów tych rozruchów, lecz zawsze stara się zbadać ich rzeczywiste, głębsze przyczyny i rzucić światło na znaczenie i charakter ówczesnej kozaczyzny, której wcale nie idealizuje. „Niepotrzebnie—powiada on — wynajdują wyłączny związek powstań kozackich z początkiem unii i prześladowań za wiarę; te ostatnie były tylko jedną z pobudek do walki, potęgując ją i nadając jej właściwy koloryt, lecz powody były daleko wcześniejsze, zasady głębsze... Gdy rząd po zorganizowaniu kozactwa chciał wedle swej myśli niem kierować i pod wpływem zewnętrznym zakrywał mu granice południowe, ograniczał jego swobodę i krępował jego dziką siłę, zwracało ją ono wewnątrz kraju, żywo odczuwało tętno życia ludowego, wiodło walkę z „panami“ bez względu na ich polskie lub *ruskie pochodzenie.*“ W innem znów miejscu dowodzi, że nietylko junactwo i chęć zgniecenia szlacheckiego ustroju parły pułki kozackie wewnątrz kraju, ale czasami nawet potrzeba i brak powszedniego chleba.

Nie ujmując znaczenia dla specyalistów bogatym w nowe szczegóły pracom p. Ewarnickiego, zaznaczmy tu wartość nadzwyczaj ciekawej rozprawy prof. Antonowicza o wałach ukraińskich. Jest to raczej archeologiczno - topograficzna, niż historyczna praca. Kto nie zna legend ukraińskich o cudownym „żmiju,“ którego słynny bohater Kiryło Kożemiaka zaprzągł do ogromnego pługa i dotąd nim orał te wały, póki znużony wąż, doszedłszy do rzeki Słuchny i opiwszy się wody, nie zginął? Stąd lud zwie te wały żmijowymi; w nauce zaś noszą one miano „trajanowych.“ Znaną jest także hypoteza, że były one granicą północnych krańców państwa Trajana; inni znowu przypisywali je sarmatom, scytom itp., powodując się więcej fantazyą, niż dowodami. P. Antonowicz odrzucił wszelkie przypuszczenia, jako bezpodstawowe, ograniczywszy się tylko do zbadania samych wałów i zebrania kronikarskich o nich wzmianek. Zgromadziwszy wszystkie znane ich opisy (Lippsman, Grabowski, Pochilewicz i in.), a w znacznej części zbadawszy osobiście, oznaczył je na mapie geograficznej, co odrazu rozbiło wszelkie dotychczasowe domysły. Położenie wałów i należących do nich rowów jasno wskazuje, iż zostały wzniesione dla obrony tego terytoryum, którego środowiskiem był Kijów. Ponieważ koczownicy grozili napadami głównie od strony południowej, stąd wały najwięcej grupują się na południowych granicach dawnej ziemi kijowskiej, tworząc tam do pięciu równoległych linij. Dalej autor wskazuje, że system obrony za pomocą długich wałów znanym jest u rzymian, od nich przyjęty przez germanów, którzy wznosili je do końca X w. Od tych ostatnich zapewne nauczyli się tego sposobu obrony i słowianie, co potwierdza pisany w 1008 r. list do cesarza Henryka II przez arcybiskupa merzobur. Brunona, który świadczy, że św. Włodzimierz wznosił w końcu X w. wały na granicach swego państwa dla obrony od Pieczyngów.

Z innych prac poważnych pierwszego działu należy uwydatnić „Kobzarze i lirnicy“ p. Gorlenki i „Szkice z wycieczki na Podole“ p. M. K. Pierwszy artykuł jest sprawozdaniem z wycieczki etnograficznej na Zadnieprze, a drugi przedstawia szereg

ciekawych opisów rozmaitych miejscowości pod względem historycznym i archeologicznym, ale zdradza brak wprawy pisarskiej, co wszakże wynagradza oryginalność pomysłu i rozmaitość jej treści. Oprócz prac samodzielnych dział pierwszy obfituje w nowe dokumenty i inne materyały dziejowe, jak: listy, kroniki i dzienniki. Materyały te przeważnie dotyczą Rusi zadnieprzańskiej. Tu się drukują także od czasu do czasu zabytki dawnej literatury rusińskiej. W przeszłym roku wydano dwa intermedya rusińskie Gawałtowicza, udzielone redakcyi przez J. I. Kraszewskiego, odpisane przezeń osobiście z drukowanego we Lwowie 1519 r. oryginału. W roku bieżącym zamieszczono w *Starinie* dramat religijny niewiadomego autora z rękopisu, noszącego wszelkie cechy końca XVII w. pod tytułem: *Sud bożyj nad duszoju hrisznyka.*

Gwoli uciesze szerszej publiczności redakcya w tym roku zaczęła umieszczać utwory beletrystyczne. Obecnie wychodzi ich dwa jednocześnie. Naprzód powieść znanego pisarza ukraińskiego I. Lewickiego (Neczuj) p. t. „Staroswietskije batiuszki i matuszki.“ Jest to obszerny obraz obyczajowy z życia ukraińskiego duchowieństwa greckiego z początku naszego wieku. Lewicki napisał swój utwór po rusińsku, lecz redakcya z rozmaitych powodów część opisową podaje w przekładzie rosyjskim, pozostawiając tylko dyalogi rusińskie. Pomimo sympatycznych i wdzięcznych szczegółów, całość robi smutne wrażenie taką próżnią umysłową, upośledzeniem moralnem i sobkostwem przedstawicieli pasterzy wiejskich. Szczytem zadowolenia wszystkich bez wyjątku, starych i młodych, mężczyzn i kobiet, dostojników i diaczków, od początku do końca jest jeść, pić, spać, przedewszystkiem pić ustawicznie przy każdej okoliczności. Doprawdy, że wszystko tam zatapia się w wódce.

Drugim utworem beletrystycznym są „Pamiętniki Sieleckiego“ (1821 — 1846). Dostojny ten mąż, potomek bogatej rusińskiej rodziny, mający szerokie stosunki i wziętość, znany był u nas dość długo, jako gubernialny marszałek kijowski; człowiek arcyspokojnego ducha, nic nikomu złego rozmyślnie nie wyrządził, a lat temu kilka przeniósł się do wieczności. Chciał widocznie się wsławić, bo napisał pamiętniki wesołe i smutne zarazem. Wesołość ich polega na tem, że autor od najmłodszych lat swych bawi się. Bawi się we wszystko: w naukę, w muzykę, w profesurę, w hulanki, a przedewszystkiem w miłostki, które prowadzi od dzieciństwa niemal, bo na szkolnej ławie jeszcze, i o których mówi z naiwną otwartością.

Miłostki, i to bardzo nawet niepochlebne, są głównem tłem opowiadania, bardzo przypominającego utwory Pawła de Coca, różniące się od nich tylko przyzwoitszą formą. Szczerość jego jest nieporównaną. Raz np. będąc niby na uniwersytecie w Berlinie, uwiódł piękną izraelitkę, córkę jakiegoś bankiera, i wyjechał z nią do Hiszpanii, gdzie oddał się muzyce. Skutkiem nieszczęśliwego upadku nastąpił przedwczesny połóg i śmierć kochanki. „Znienawidziwszy dziecko,“ zostawił je krewnym zmarłej, sam zaś wyjechał do Sewilli, gdzie rzucił się w objęcia nowej bogdanki i w wir orgij. Jakie bohaterstwa dalej popełni—jeszcze nie wiadomo. Doprawdy, trudno pojąć, co wspólnego mają takie pamiętniki z historyą. Ani jednej poważnej myśli, ani jednego faktu dla wyświetlenia epoki... Nie, może się mylę. Ta postać zdemoralizowana, bezmyślna, rozbiegana jak koń rozkiełznany, niebaczna na to, co się w około dzieje, pozbawiona szlachetnych popędów ludzkich nawet w wieku młodzieńczym — może to typ arystokracyi swojego wieku? Może... zobaczymy dalej, z czem wróci do kraju.

O ile pierwszy dział *Stariny* jest bogaty doborem poważnych prac lub materyałów i odznacza się rozumnym kierunkiem, o tyle następne dwa rażą niepojętym chaosem i sprzecznością poglądów. Obok poważnych, spokojnych sprawozdań z dziedziny literatury historycznej i etnograficznej, jak: rosyjskiej, rusińskiej i polskiej, oraz ciekawych drobnych uwag i wiadomości, spotyka my tu takie objawy ciemnoty, fałszu i namiętności, jak gdyby to były stronice z *Kijewlanina*, albo korespondencye p. Mołczanowa. Należy wszelako zaznaczyć, że rozdwojenie to, chociaż widoczne w redakcyi, nie odbija się w autorach. Żaden z powyżej wskazanych nie okazał pohopności do anti-semickiej, anti-polskiej i antikatolickiej hecy, w której dotąd wprawiają się albo bezimienni pismacy, albo podznaczający się inicyałami. Oprócz tego rozdwojenia, które nawet *Kijewlanin* zauważył, zarzucając p. Lebedincewowi siedzenie na dwóch stołkach, czuć w tych dwóch działach ogromnie ciężką atmosferę duchową. Rzeczy kościelne i kastowo-duchowne traktują się tu z zamiłowaniem, godnem lepszej sprawy. Może to wszystko potrzebne, zważywszy na listę abonentów — nie wiem; w każdym razie z historyą i powagą organu nic wspólnego nie ma. Według mnie, licha to rachuba redaktorska i ostatecznie może tylko wyjść na złe. Poważni bowiem autorowie powoli ostygną w chęci należenia do jednego szeregu z Mołczanowymi, Muraszkami i *tutti frutti*. Czyż nie lepiej trzymać się zasad prawdziwej historyi, prawdy, spokoju i logiki?

Życzymy redakcyi pomyślenia poważnie nad swem zadaniem, wolnem od niskich namiętnostek. Na powadze i szacunku organ ten nie straci. Bo przecież wymyślanie w końcu i zwolennikom jego obrzydnie.

Ces. N.

LIBERUM VETO.

Jak było i jak p. Plug opowiada. — Handel apostolujący. — Czy p. Lewental, kupując *Kłosy*, myślał o wichrach ze wschodu i zachodu. — Teorya poczciwości. — Niebezpieczna zasada p. Krzemińskiego. — Artykuł p. Kaszewskiego i zasługi młodych. — Krajobraz p. Cezara Polewki. — Suma. — Smutek pierwszej polskiej wyprawy do Afryki. — Najgłośniejszy jej czyn.

W r. 1865 trzej ludzie, posiadający niewielki kapitał, a pragnący go powiększyć w przedsiębiorstwie literackiem, mianowicie pp.: Z. Woycicki, W. Ostrowski i Japowicz założyli *Kłosy*, które miały wyrość kosztem *Tygodnika ilustrowanego*. Interes wszakże, pomimo mordeczych powieści, szedł źle. Po upływie roku nabył pismo p. S. Lewental, niegdyś elementarny nauczyciel żydowski a wówczas drukarz, który o żadnych „ideach“ nie myślał i myśleć nie mógł, bo oprócz blankietów, kwitów i ogłoszeń drukowanych nic więcej nigdy dla zecera nie pisał. Powierzywszy redakcyę K. W. Woycickiemu, później Lewestamowi a wreszcie A. Pługowi, przy ich pomocy obracał *Kłosami* tak zręcznie, że zyskał dla nich kilka tysięcy prenumeratorów, otworzył inne wydawnictwa i z całej tej „pracy literackiej“ wybudował sobie lub nabył kilka domów. Jeżeli przemysłowiec zakłada fabrykę, to chociażby nie znał się na używaniu jej warsztatów i maszyn, musi wiedzieć, jaki towar zamierza wyrabiać i jaki prawdopodobnie da mu największe zyski. P. Lewental, kupując *Kłosy*, nie miał o literaturze żadnego pojęcia, ale dostrzegł w niej ten pewnik, że u nas wydawca pisma ilustrowanego, liczącego na większą ilość abonentów, czy jest w przekonaniach swoich postępowcem, czy też konserwatystą, ultramontaninem, sztundystą, żydem, mormonem — musi być katolikiem i zachowawcą. Tyle p. Lewental wiedział z całej filozofii, socyologii, filologii, lingwistyki, prawa, nauk przyrodniczych — i to mu wystarczyło. Z wyznania izraelita, członek rozmaitych zarządów starozakonnych, wydaje organ katolicki. Dopóki kapitalista przedstawia swoje przedsiębiorstwo jako interes handlowy, nie potrzebujemy go pytać o inne zasady, oprócz handlowych. Ale gdy on jednocześnie występuje jako głosiciel pewnej ewangelii, musimy sprawdzać szczerość jego apostolstwa. Wiadomo, że do ostatnich czasów handel t. z. świętościami — obrazami, koronkami, szkaplerzami itd. — spoczywał w ręku żydów. Ludzie ci rozumowali bardzo prosto: dla nas każdy towar jest dobry, który znajduje odbyt, a ponieważ ten zapewnia zyski, więc nim handlujemy. I słusznie. Ale wystawmy sobie, że ci ludzie, nie poprzestając na logice i etyce handlowej, wydali odezwę do narodu, w której rzekli: dla rozszerzenia *naszej* świętej wiary, wiecznie wyszydzanej przez wyzutych z patryotyzmu mędrków, sprowadziliśmy i po przystępnej cenie sprzedajemy św. Antoniego, św. Pafnucego itd.; spodziewamy się, że społeczeństwo oceni nasze długoletnie usiłowania, skierowane ku zachowaniu w czystości jego ideałów.

Taką właśnie odezwę w imieniu p. Lewentala napisał p. Adam Plug w jubileuszowym, tysiącznym numerze *Kłosów*. Jest to coś bezmiernie naiwnego. Zasłużony i skądinąd szanowny autor najpoważniej w świecie zastanawia się nad pytaniem: „w jakim *celu* była podjęta praca“ około tego pisma. Więc naprzód usiłowała „chronić od burzliwych wichrów z zachodu i wschodu i od głowni (sic), ziarno zatruwającej (sic);“ powtóre — szczepić naukę „czystą i zdrową“ i „nie wprowadzać jej w kolizyę z wiarą, gdyż religia nie stawia „by najmniejszej przeszkody do postępu,“ słowem—„łącząc przyjemne z pożytecznem, dostarczać dla umysłu i serca czytelników karmi pożywnej.“ Wszystko to jest poczciwa blaga. P. Lewental, nabywając *Kłosy* (ub. p. Plug nawet nie mieszkał wówczas w Warszawie), tak myślał o „wichrach od wschodu i zachodu,“ jak ja w tej chwili myślę o pięcioletnim Dalaj-Lamie. Podjął spekulacyę — *et voilà tout* — a wszystkie „wichry,“ „czyste i zdrowo nauki“ odegrały tylko rolę warunków powodzenia, i bynajmniej nic złały się w żaden żywioł jednolity. Świąteczny płaszcz, który p. Plug zarzuca na barki *Kłosów*, jest najzwyklejszą, łataną rozmaitego gatunku skrawkami burką z kapturem konserwatywnym. „I Bogu świeczka i dyabłu ożóg,“ kawałek religii, kawałek nauki, swoboda myśli póty, póki proboszcz z Kurozwęk nie zaprotestuje, w jednym numerze apoteoza Wallace'a (Niewiadomskiego), a w drugim skarga na darwinizm, tu ambonka dla księdza, a tam katederka dla pozytywisty. Niedostrojony chór z najgłośniej wykrzykiwaną nutą katolicką — a batuta w ręku izraelity. P. Plug, odpierając zarzut disharmonii w *Kłosach*, powiada: „Ludzie uczciwi, bez względu na różnicę wyznawanych przez siebie zasad *naukowych, socyalnych, filozoficznych, a nawet religijnych*, w świętej sprawie pożytku ogólnego porozumieć się i zjednoczyć z sobą zdołają.“ Już gdzie niedługo ta nasza dziecięca, samowiedzy pozbawiona teorya „uczciwości“ zajedzie, przewidzieć trudno. W powyższem twierdzeniu ni mniej ni więcej tylko utrzymuje ona, że ludzie mogą się różnić we wszystkich kierunkach i zarazem zgadzać w tym, w którym wszystkie się zbiegają. Ani jej na myśl nie przychodzi, że jeśli Paweł ma inne „zasady naukowe, socyalne, filozoficzne a nawet religijne,“ niż Gaweł, to i „świętą sprawę pożytku ogólnego“ pojmuje odmiennie. Co jest „pożytkiem“ dla demokraty, darwinisty lub ateusza, to jest szkodą dla arystokraty, ultramontanina i idealisty. Dlaczego wszakże oni obok siebie w *Kłosach* stoją? Dlatego, że potrzebują

zarabiać i nieraz muszą się poddać operacyi ołówka redakcyjnego, gdy ich napadnie ta „odwaga," którą w liście z tegoż numeru do p. Pługa tak zaleca literatom p. S. Krzemiński, radząc „wypowiadać swoje przekonania i bronić ich." Pięknie by wyglądał interes p. Lewentala i „zjednoczenie w świętej sprawie pożytku ogólnego," gdyby 500 współpracowników *Kłosów* zaczęło dogadzać p. Krzemińskiemu.

Przyznać muszę, że na każdym wyrazie jubileuszowej odezwy p. Pługa perli się kropla potu. Sklopotany autor, malując dekoracye dla najzwyklejszego, czysto spekulacyjnego przedsiębiorstwa, sławi je, że odpierało poniewierkę *„wszystkiego*, co się tylko wiąże z przeszłością, co jest stare, z tej *jedynie* racyi, że jest stare," jak gdyby ktokolwiek taką zasadę, słuszną chyba dla masła, kiedykolwiek głosił, a nawet — o święta sprawo pożytku ogólnego! — poczytuje *Kłosom* za zasługę to, że *„rzadko kiedy* występowały, jak to czynią niektóre czasopisma, z artykułami naczelnymi." Doprawdy należało je pochwalić i za to, że „rzadko kiedy" nie pomieszczały jakiegoś kościółka.

Na jubileuszowy numer pisma, chroniącego nas „od wichrów z zachodu i wschodu," złożyło się liczne grono współpracowników. Są tam aforyzmy, wspomnienia, powiastki, a najwięcej ustępów z „niewydanych" dzieł, które długo zapewne jeszcze ociągać się będą z tryumfalnym wjazdem do literatury. Znamy te „niewydane jeszcze" dzieła! Największą wartość ze wszystkich ma artykuł p. K. Kaszewskiego. Autor kreśli obraz naszego życia w ramach istnienia *Kłosów*; dziwne to ramy, ale przypatrzmy się obrazowi. P. K. dowodzi, że od lat 20 po trudnej drodze postąpiliśmy znacznie: stworzyliśmy szereg pożytecznych instytucyj, piśmiennictwo, a zwłaszcza prasa rozwinęła się olbrzymio, posiadamy cenne talenta w belletrystyce, tylko nauka chroma. Od pewnego czasu stało się zwyczajem w przedstawianiu historyi ostatniego dwudziestolecia odmawiać wszelkiego dodatniego wpływu t. z. „młodym," odmierzać im obelgi z czubem i mimo to wysuwać ich na plan pierwszy. P. Kaszewski również zatrzymuje się przy nich długo, ale inaczej niż p. Goraj lub nawet p. Pług. Ów młody zastęp—według niego—siał nienawiść, ale „oddany studyom umiejętności zachodniej przeprowadzał stamtąd wiadomości iście dla postępu korzystne, uobszerniające granice myśli, kształcące pojęcia i metody ich nabywania, a przez tłomaczenie dzieł pierwszej wartości wzbogacił liczbę podręczników naukowych. Przez takie postępowanie obudził energię i w innych organach do pracy postępowej, do obszerniejszego i krytyczniejszego przedstawiania rzeczy." Autor usiłuje wykazać, że „świeższe organa prasy," przyznając młodym zasługę postawienia za najbliższy cel społeczeństwu pracy organicznej... u podstaw — głoszą „fałsze," gdyż takie hasło brzmiało dawniej. Nikt temu nie zaprzeczy, ale co innego jest przelotna uwaga, rzucona w *Tygodniku ilustrowanym* lub innem piśmie, a co innego cały rozwinięty program prasy młodej, co innego jednorazowe pociągnięcie sygnatarki, a co innego bicie przez lat kilka w wielki dzwon na gwałt. Metodą p. Kaszewskiego i nieboszczyk Levitoux dowiódł, że wynalazł teoryę rozwoju i walki o byt przed Darwinem. Bardzo natomiast trafną jest inna uwaga p. Kaszewskiego, że w chwili wystąpienia wychowańców Szkoły Głównej, literatura nasza posiadała niewielu pisarzy z wiedzą i talentem, że inni „byli to rzemieślnicy pióra od poślednich zadań lub mało krytyczni kierownicy idej, których siła starczyć nie mogła do posuwania naprzód wiedzy społecznej." Nic też dziwnego, że rozdział na *my* i *wy* stał się tak ostrym i że „akces młodzieży akademickiej do działalności dawnej skończył się na... próbkach."

Przez kolczeństwo zapewne p. Kaszewski nie wspomniał w swym bilansie o jednym jeszcze ważnym aktywie młodych, mianowicie o wyświeceniu z literatury komunału i szumnie rymowanych niedorzeczności. Dzięki temu prześladowaniu, nie potrzeba już dziś obszernie dowodzić czytelnikom *Kłosów*, że p. M. J. Zaleska prawi banialuki o „księdze przyrody," która „pozostała *zamknięta* dla społeczeństw greckich" (Demokryt, Arystoteles lepiej ją czytać umieli, niż p. Zaleska), gdyż tam *„nikt nie śmiał* (!) badać przyczyn," zjawisk i sił natury; dzięki karom za bezsens, dziś już można mieć nadzieję, że gimnazjasta oceni należycie takie wiersze, jakimi p. Cezar Polewka kreśli krajobraz grecki:

Posłuszny czekam wyrocznej chwili
Co mrok mi życia w blask szczęścia przesili...
A tu dzień grecki — poemat otwarty —
Zwolna się składa Hezyodową księgą
Nieba i morza już obydwie karty
Zwiały się, rapsod słoneczny, wydarty
Z pośród nich, krasną zastąpiwszy wstęgą,
Jak pełny krater w biesiadnika dłoni.
Toń wygładniała, ledwo po ust wiewie
Znać, że mu luba skroń na ziemię kłoni:
Ślad dziewiczego oddechu na toni
Widny precz w sennem muśnięciu, co goni
Słyszalny w cichym u brzegów przelewie itd.

Innemi słowy: fitu, fitu, pełna skrzynia aksamitu. Ale gdzie tam! Owo „fitu, fitu" jest arcydziełem myśli wobec tego „krajobrazu greckiego." Że to czuje dziś każdy gimnazista — powtarzam — w znacznej części sprawili „młodzi."

Wróćmy wszakże do autobiografii *Kłosów* w tysiącznym ich numerze. Nie myślę przeczyć temu, że one swym czytelnikom tą lub inną pracą korzyść przyniosły, że nawet p. Pług szczerze wierzy w ich idealne posłannictwo, ale my „wystudzeni zwszelkich zapałów" nie możemy ich uważać za nic więcej, jak za interes, za przedsiębiorstwo, którego charakter wypływa z rachuby spekulacyjnej, gdyż przypuścić trudno, ażeby wydawca żyd był szczerym katolikiem i ażeby zawdzięczając swe obywatelstwo liberalizmowi wyznawał konserwatyzm. Jest to obłuda handlu.

Tak mi ona dużo w dzisiejszej kronice zabrała miejsca, że nie mogę wypłakać się dostatecznie z czytelnikami nad *„pierwszą* polską wyprawą do Afryki." Podczas gdy dwaj pozostali jej członkowie spacerują sobie ciągle po brzegu i opisują swoje turystyczne wrażenia w *Kuryerze warszawskim*, obiecując założyć „polską misyę," niemcy zatknęli chorągiew zaboru w Kamerunie, do którego Rogoziński, jak do ziemi obiecanej, nas prowadził i której, jak Mojżesz, zapewnie przed swym zgonem nie zobaczy. Bo trzeba nieszczęścia, że mu te szelmy dziko plemiona ciągle drogę zagradzają. A brutale! Dobrze przynajmniej, żeśmy na te usiłowania niewiele pieniędzy dali. Bo najgłośniejszym dotąd w kraju czynem „pierwszej polskiej wyprawy do Afryki" jest to, że jeden z jej uczestników, Tomczak, umarł.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Przykre zdziwienie z powodu sprawy żydowskiej. — Zawód na Warszawie i na „specyalistach." — Platoniczna nienawiść w rycerzach chrześcianstwa. — Wina krawców radomskich. — „Intryga" w Opolu. — Główna przyczyna zbrodni społecznych. — Czego się dopuszcza ogromna większość. — Cnoty obywatelskie w grodzieńskiem.—Solidarność.—Między wschodem a zachodem.— Odkrycia p. Heugla.

Przyznać się muszę, żem nigdy kwestyi żydowskiej nie zgłębiał. To też do sporów się nie wtrącałem i do żadnych istniejących przekonań nie przystąpiłem. Jedyne uczucie, jakiego z powodu tej sprawy doznaję, jest mniej lub więcej przykre zdziwienie. Kiedym przed laty kilku opuszczał kraj, o „judenhecach" jeszcze słychać nie było; gdyby kto wtedy sprobował prorokować coś podobnego, byłby się spotkał ze spojrzeniem, podejrzywającem zdrowy stan jego zmysłów i z zarzutem, że hańbi swemi podejrzeniami koniec XIX wieku. Bieg historyi, szerzące się coraz bardziej przekonania o potrzebie skupienia wszystkich sił ku wspólnej pracy pozwalały mieć nadzieję, że w jedności narodowej prędzej lub później utonie różnica rasowa. To też, kiedy dzienniki paryskie przyniosły wieść o biciu żydów u nas, uśmiechnąłem się lekceważąco.

— Kaczka — pomyślałem — gdyby znali nasze stosunki, nie puściliby podobnej pogłoski.

Czyż mogłem przypuszczać, że Warszawa — ta Warszawa, na której ulicach tak niedawno jeszcze zaciskał się węzeł serdecznej, braterskiej miłości poniży się aż do dzikiego wybuchu kułakowych rozpraw?

Po powrocie do kraju znowu czekało mnie zdziwienie. Ci sami ludzie, którzy przed kilkoma laty posiadali tyle pięknych argumentów na obronę potrzeby i możności zjednoczenia, którzy ukazanie się takiej *Roli* uważaliby za czarną plamę, za ruch złowrogi dla naszej moralności i politycznego rozsądku, dzisiaj twierdzą co najmniej, że to zjawisko normalne... Ha, byłem długo śród obcych, chwytam więc chciwie, co mówię w tej sprawie kompetentni, *specyaliści* i... dowiaduję się rzeczy, o których wiedziałem zawsze doskonale, słyszę tylko lamenty o wyzysku, o szachrajstwie itd., co wszyscy od dzieciństwa na pamięć umiemy. Może przez ten czas jakaś myśl genialna błysnęła, może po wyliczeniu ujemnych zjawisk nastąpi pozytywny projekt rozwiązania kwestyi? Przygotowany byłem nawet usłyszeć o potrzebie wytopienia żydów w Wiśle, o możności uzyskania odnieba ognia sodomskiego... gdzie tam, to jakaś nienawiść platoniczna bez myśli przewodniej.

Więc co robić nareszcie? Brać się do przemysłu, do handlu, wytrącić pijawkom oręż z ręki, krzewić trzeźwość śród ludu. Ależ ja zawsze wiedziałem, że pracować potrzeba, bez względu na to, czy w społeczeństwie jest pierwiastek żydowski, czy nie. Piękny bodziec!

Gdybym mógł się chociaż nauczyć, jak patrzeć należy na pojedyncze zjawiska. Słysząc narzekania, że żydzi nie wytwarzają nic, sądziłem, iż przyklasnąć należy braniu się ich do rzemiosł, tymczasem jakiś korespondent z Radomia żali się, że tamecznym krawcom robią konkurencyę... żydzi. Pewnie spekulanci, sprowadzający gotowe ubrania z Anglii? Nie, równie krawcy.

Wobec tego nie wiem wcale, jak się zachować wobec następującej wiadomości, zanotowanej przez *Gazetę warszawską*:

„Miasteczko Opole, zawsze tak spokojne, pomimo 4,000-nej ludności, ma dziś do zanotowania fakt ciekawy. Żydzi, którzy tu stanowią trzy czwarte ludności, zaczynają nabierać ochoty do pracy; widać, że im już za ciasno śród dotychczasowych zajęć spekulacyjnych, które nie udają się już o tyle, aby można wyżywić coraz liczniejsze rodziny. Przez parę więc tygodni chodzili gromadnie do sąsiadnich folwarków, celem pielenia z zielska buraków cukrowych, a chociaż robota szła im opornie, nie dziwiło to nikogo; owszem, starano się uwzględniać niedokładności. Zyskiwali przez to nietylko materyalnie, zarabiając paręset rubli, ale i pod względem hygienicznym. Była to prawdziwa krucyata: starsi szli na robotę, młodsi przez ciekawość, inni znów donosili im pożywienie i napój. Tym sposobem trzecia część ludności żydowskiej Opola była

w tym roku po raz pierwszy gromadnie na polu.“

Ja bym sądził, że to objaw bardzo pocieszający, ale specyaliści dopatrzą zapewne jakiej „intrygi“ żydowskiej. Może zresztą nie należy pożądać, aby mnożyły się węzły, łączące *pijawki* z krajem, bo trudniej będzie sobie poradzić, jak nadejdzie czas transportu do Palestyny, lub Ameryki, albo stanie się coś takiego, co się nigdy jeszcze nie stało, a wskutek tego trudnem jest do przewidzenia.

Nie posiadam więc żadnej recepty na rozplątanie kwestyi żydowskiej i żadnych przypuszczeń nie robię. Ale o tem tylko jestem najmocniej przekonany, że na ujemnych uczuciach trwałego gmachu budować nie można. Mam zapewne mniej pochlebne pojęcie o potędze miłości chrześciańskiej, niż pp. Kamienni i Pancerni, i z racyi mych wierzeń mniej prawa do szczycenia się nią, a jednak przez pamięć na tych żydów, których serca w wzniosłych chwilach naszego życia biły w takt z sercem ogółu, przebaczam tysiącom czerni, niewiedzącej, co czyni. Sianie nienawiści społecznych jest mi zawsze i wszędzie wstrętnem, ale sianie nienawiści dziś u nas jest zbrodnią i zbrodnią tak potworną, że do popełniania jej pchnąć nie zdołałaby przewrotność, ale jedynie chyba... nieukończenie gimnazyum.

Niechęć, czy żal do wyznawców mojżeszowego zakonu przegląda także u grodzieńskiego sprawozdawcy *Gazety polskiej*. Zanotowawszy, że podczas ostatnich wyborów do „dumy“ weszło 48 chrześcian i 24 żydów, tak opowiada o stanie spraw miejskich:

„Izraelici, stanowiący ogromną większość, wybierali z chrześcian tych tylko, których uważali dla siebie za dogodnych (trudnoż, żeby sobie niedogodnych wybierać!). Dzięki temu, liczba radnych chrześcian na przyszłe czterolecie składa się przeważnie z osób, nieuczęszczających nigdy na zebrania radnych. Całkiem inaczej rzecz się ma z radnymi—izraelitami: wszystko to są ludzie praktyczni, wytrawni i doskonale rozumiejący, na czem polega ich korzyść. Do tego należy jeszcze dodać, iż żydzi bardzo akuratnie uczęszczają na posiedzenia, i że stanowią najczęściej większość, chrześcianie bowiem zaglądają do dumy tylko czasami i jakby z łaski.“

Nie lubię żydów grodzieńskich, jak również białostockich, wileńskich, mińskich, z powodów, niemających ścisłego związku z kwestyą żydowską. Pomimo to trudno mi jest zrozumieć całą doniosłość intrygi. Dlaczego oni, mając „ogromną większość,“ przeprowadzają chytrze akurat dwa razy więcej dogodnych dla siebie chrześcian, zamiast wprost wybrać swych współwyznawców. Wydaje mi się to słusznem, że jako żywioł, posiadające przymioty, wyliczone przez korespondenta, grają wybitną rolę śród niedołęgów i popierają interesy *ogromnej większości*. Chyba że te interesy są sprzeczne z ogólnemi potrzebami społeczeństwa, ale czego ich korespondent nie wymienia. Spraw oświaty do takich zaliczyć mi niepodobna, chociażby te były w stanie najsmutniejszym, gdyż one obchodzą jednako obie części grodzieńskich mieszkańców. Tamtejszych żydów wcale poważna ilość kształci się po za chajderami. Winną tu więc nie *wytrawność*, lecz brak należytego rozumienia interesów u całego ogółu.

Rzeczywiście przykre świadectwo o *dumie* grodzieńskiej wypowiadają cyfry budżetowe; ze 112,000, na oświatę idzie tylko 2,750 rs.! Źle, źle, chyba że może są tam jakie względy, które chłodzą dobre chęci radnych na tem polu i osłabiają energię.

I w innych zresztą kierunkach nadniemeńskie okolice, według zapewnień tegoż sprawozdawcy, za wzór służyć nie mogą. Posiadaczów większych majątków cechuje w tamtych stronach *apatya, sobkowstwo, brak ochoty do pracy* i — dodam od siebie na podstawie danych z korespondencyi — *służalczość*. Ludzie z tytułami na biletach i z rezydencyą za granicą odgrywają ważną rolę jako społeczne powagi. Majątki—odłużone, wyniszczone, wyeksploatowane dla chwilowej potrzeby bez względu na przyszłość. Z 1.206,957 diesiatyn w naszym ręku pozostało już tylko 600,000! W ostatnich czasach pozbyto się znowu w kilku miejscach ojcowizny za bezcen, a ciężkie warunki nie usprawiedliwiają tego wcale.

Korespondent wskazuje jeszcze na brak „solidarności rodaczej.“ Wielu obywateli, możniejszych naturalnie, wykręciło się od kontrybucyi, zwalając tym sposobem większy ciężar na barki słabszych, gdyż kwota, wyznaczona na gubernię, uiszczoną być musi w całości, bez względu na ilość płacących. E... zamilczę o tem... kląć publicznie nie można.

Państwo rosyjskie posiada, zdaje się, możność odwetu Ameryce za konkurencyę zbożową. Przynajmniej może groźbą na groźbę odpowiedzieć. Nafta kaukaska zyskuje pierwszeństwo nad zaatlantycką we wszystkich państwach europejskich. *Börsen Courier* donosi, iż największy pociąg do bakuńskiego produktu okazały dotąd Austro-Węgry. Potężna jakaś firma tamtejsza posłała specyalnego pełnomocnika do Baku dla zakupienia 16,000,000 pudów nafty. Firma owa ma zamiar robić nakłady wielkie i przeprowadzać rury z naftodajnych okolic aż do Poti (port morski) w celu ułatwienia komunikacyi. Na tych więc milionach pudów się nie skończy. Giełdowy organ żywi nadzieję z tego powodu, iż całe południe Europy używać będzie wkrótce *wyłącznie* nafty kaukaskiej.

My najlepiej wyjdziemy na przemysłowej walce odległego wschodu z odległym zachodem, bo w kraju zostanie nietylko dużo zboża, ale i obfitość nafty. Austrya z pieczołowitością rodzonej matki nietylko dla dobra monopolu zatapia w Wiśle od czasu do czasu sól wielicką, ale dobrze pojętą swobodą konkurencyi skutecznie przyczynia się do zupełnego upadku kopalni naftowych w Galicyi.

Wobec tego nie ma już ochoty i sił do cieszenia się ze szczęśliwego odkrycia p. Heugla*). Geolog ten, a zarazem urzędnik kolei Nadwiślańskiej znalazł w górach, otaczających osadę Janowo (w przasnyskiem) źródła nafty. Według zdania umiejętnego odkrywcy mają w tamtych stronach znajdować się bogate żyły, jeszcze nieodszukane. Niemcy podobno zwąchali już dobry interes i kręcą się, aby nawet przy badaniach uprzedzić miejscowy żywioł.

P. Heugel pomimo nazwiska jest polakiem. Na podstawie naukowych kombinacyj i pewnych spostrzeżeń doszedł on do przekonania o istnieniu w Królestwie pokładów *soli*, odpowiadających Bochnii i Wieliczce. Tymczasem znalazł tylko naftę, może być jednak, że dalsze poszukiwania doprowadzą go do pożądanego celu.

Lach.

Łódź. Nareszcie doczekaliśmy się lepszych czasów. Przez tak długi czas uśpiony handel ożywił się nadzwyczajnie. Ze wszech stron płyną zamówienia. Znaczne obstalunki porobili hurtowni kupcy z Królestwa i Cesarstwa.

Fabryki tutejsze przyjmują zwykle wielki udział w jarmarku Niżno-Nowgorodzkim. W tym roku też wyprawiono tam znaczną ilość wyrobów wełnianych i bawełnianych.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 4 września.

Dzienniki angielskie puściły parę dni temu pogłoskę o wypowiedzeniu wojny Francyi przez Chiny; pogłoska ta jednak była tylko wytworem fantazyi, podniecanej przez nieżyczliwość dla Rzeczypospolitej i dla jej tryumfów. Pomimo, iż padły już setki trupów, że zburzone zostały forty, pozatapiane statki, prawnie państwo Niebieskie i Francya pozostają wciąż w „przyjacielskich“ stosunkach. Dla Ferry'ego jest to rzecz bardzo pomyślna, bo zupełnie usuwa potrzebę zwołania Izb, a z drugiej strony ułatwia stosunki z innemi państwami europejskiemi: w razie formalnej wojny musiałby skrępować wolność ruchu wszystkich obcych statków. Admirał Courbet postępuje wciąż odważnie, sprężyście, zuchwale nawet. Zburzył zupełnie fortyfikacye na brzegu rzeki Min (Mingan i Kimpai) i skierował się ku północy; podejrzywają, że ma zamiar wprowadzić flotę do ujścia Jan-Tse-Kiank i zająć Nankin, będzie to wraz z opanowaną Formozą zastaw za żądane miliony wynagrodzenia. Chińczycy i tym razem nie zabłysnęli męstwem i zdolnościami wojskowemi, chociaż do łatwych tryumfów Francyi przyczyniła się znakomicie wyższość broni, a szczególniej umiejętność obchodzenia się z nią. Krążą także pogłoski, że Courbet posiadał plany fortyfikacyj, gdyż je kiedyś budował francuz i obecnie przesłał do ministeryum wszystko, co potrzeba było dla ułatwienia zdobycia.

Angielskie gazety rozgłaszają wciąż wieści o niepowodzeniach na wschodzie swych sąsiadów, a gdy nadejdą zaprzeczenia, ubolewają nad popełnionemi tam okrucieństwami. Paryskie a nawet niemieckie dzienniki przeczą temu i przywołują wspomnienie czynów Seymoura pod Aleksandryą. Postępowanie francuskie nie było ani pochwały godne ani bardzo ludzkie, ale Courbet gromił tylko forty, arsenał, okręty wojenne, słowem miejsce obronne, przeznaczone z góry, jak gdyby, na zniesienie skutków bitew. W miastach dotąd spokój nie został naruszony. Tymczasem dwa lata temu pod Aleksandryą...

Prócz nieprzyjaznych wypadków na południu, Chiny narażone są na jakieś zawikłanie na północy. Rosya gromadzi siły w kraju nadamurskim. Tak błahego nieraz pozoru potrzeba, aby stracić kawał terytoryum! Choć i siły Francyi mogą być paraliżowane ubocznemi okolicznościami. Zdaje się, iż między dowódcami panują waśnie. Głównodowodzący dotąd gen. Millot został obecnie usunięty. Powodem tego było, że to on niedołęstwem naraził kraj na dzisiejsze awantury, a Courbet, niezbyt podobno lubiony przez niego, zasłużył na podziękowanie, złożone mu przez ministeryum od imienia narodu. Na miesce Millota ma być mianowany Briere d' Isle. Znaczyłoby to nie wiele, gdyby usunięty wódz nie cieszył się protekcyą skrajnej lewicy. Podniosły się już w Paryżu okrzyki o męczeństwie. Millot zapewne miał w wojsku stronnictwo, a więc nowy naczelnik napotka różne wewnętrzne nieprzyjemności.

O ile Anglia stara się szyć buty Francyi, o tyle Niemcy nie przestają objawiać swej życzliwości. Wyszedł rozkaz, zabraniający oficerom Rzeszy wstępować do wojska warkoczowego, a statki, przygotowane dla Chin w warsztatach niemieckich, nie będą wydawane, aż do ukończenia całej sprawy.

Rozczuleni tem wszystkiem francuzi zaczęli nawet marzyć, że poseł ich Courcel pojechał do Warcyna, aby przyjąć z rąk kanclerza zabrane prowincye. Półurzędowe dopiero dzienniki musiały bryznąć chłodną wodą na optymistycznych rodaków, oświadczając, że chodzi tylko o politykę chińską.

Groźniejsze niż zajście z Chinami mogą być dla gabinetu Ferry'ego kłopoty finansowe. Przewidywany jest w tym roku deficyt 200,000 milionów. Jak zwykle — nadzieja przychodu zawiodła, a rozchody nieprzewidzianie wzrosły.

Takie same wawrzyny, jak obecnie Francya w Chinach, zbierać zacznie niedług

*) Pisma codzienne mylnie podały nazwisko Hengel.

Anglia w Egipcie. Pozycya Gordona jest o wiele lepszą, niż dotąd przypuszczano, a Wolseley lada dzień wystąpi na widownią ze swą wściekłą energią. Wyprawiono już nad Nil i ludzi i statki. Nadzwyczajnie się tam stosunki wszystkie powikłały.

Manifestacye liberalnych i zachowawczych stronnictw nie ustają. W Edymburgu przemawiał sam Gladston. Ale lordowie dotąd górą, w Nostel-Priory zgromadzili aż 130,000 swych stronników i grozili zupełnem rozbiciem bilowi wyborczemu.

Hiszpański minister robót publicznych Pidal oświadczył się przed kilkoma tygodniami za przywróceniem władzy świeckiej papieżowi. Rzecz naturalna, że spóźnione te chęci wywołały pewne niezadowolenie ze strony Włoch. Kierownik gabinetu Canovas del Castillo musiał protestować przeciw wyrwaniu się kolegi. Obecnie znowu katolicy wyrażają niezadowolenie z prezesa ministrów. Arcybiskupi Burgos i Walencyi wzywali hiszpańskich katolików, aby dopomagali czynnie papieżowi do odzyskania władzy. Ojciec Camera wygłosił w Madrycie, w obecności wysokich dostojników kościoła kazanie, w którem nazywa państwo włoskie dziełem szatana, a ministeryum gruchocze słowami oburzenia i nagany. Wyprawiono nawet do Leona XIII adres, wzywający go, aby stanął na ziemi hiszpańskiej na czele milionów wiernych i odzyskał utracone państwo.

Przypuszczać należy, iż papież bardzo głośno nie pochwali intencyj hiszpańskiej owczarni; tymczasem zaś po zgromieniu socyalistów i upokorzeniu masonów wydał encyklikę przeciw... cholerze. A ci medycy tak sobie głowy łamali!

Lwów. Posiedzenie sejmu otwartem zostało d. 2 września, we wtorek.

Bruksella. Około 90,000 liberałów wręczyło królowi, na ręce jego adjutanta, petycyę, proszące o niezatwierdzenie prawa szkolnego.

W SPRAWIE LEKARZY.

Szanowny Redaktorze! Pomieściwszy list mój w nrze 33 *Prawdy*, Redakcya zrobiła parę zastrzeżeń, które bądź to nie godzą się z faktami, bądź mylnie tłomaczą zdania przeze mnie wypowiedziane. To zmusza mnie jeszcze raz prosić Was, Szanowny Panie, o zamieszczenie niniejszego sprostowania. Sądzę, że w imię słuszności nie odmówicie mi tego, tem bardziej, że mam nadzieję na tem zakończyć już uwagi swoje. Przedewszystkiem na przeludnienie lekarzy w Warszawie nie tyle wpływają młodzi, których stosunkowo pozostaje tu niewiele, ile starsi. Co rok napływa do Warszawy pewna ilość lekarzy starszych, którzy po kilku lub kilkunastoletnim pobycie na prowincyi lub w Rosyi znów przenoszą się tutaj dla kształcenia dzieci, a często jedynie tylko dla wygód stołecznego życia. Oni to, mniej już mając na względzie cele naukowe, niż praktyczne, głównie się przyczyniają do owego przeludnienia. Łatwo się o tem przekonać w pierwszej lepszej aptece: dość przejrzeć i porównać spisy lekarzy z kilku lat ubiegłych, a następnie zapytać o każdego ze świeżo odnotowanych, do rzędu jakich on należy, młodszych, czy starszych. Co się tyczy centralizacyi wiedzy lekarskiej u nas, to jest ona obecnie, zarówno jak i wszędzie, nieuniknioną. Jedna tylko Warszawa dać może pragnącemu uczyć się odpowiednio urządzone szpitale, pracownie, biblioteki i, co może najważniejsze, kierowników. Każdy, kończący uniwersytet, czuje mnóstwo braków, które winien usunąć. Wobec jednak trudnych warunków utrzymania (a większość kończących medycynę musi się z nimi liczyć), niektórzy tylko odważają się na dalsze studya. Pozostając w Warszawie, zajmują się oni w pracowniach i klinikach, jako asystenci przy profesorach lub w różnych oddziałach szpitalnych jako asystenci przy ordynatorach. Niektórzy nigdzie nie umieszczają się stale, lecz uczęszczają do różnych oddziałów szpitalnych. Może być, że znajdzie się między nimi kilku bogatszych, których ciągną tylko przyjemności i rozrywki Warszawy. Tacy jednak stanowią wyjątki; ogół młodych, trzymający się w biedzie stolicy, musi sobie odmawiać prawie wszelkich przyjemności, jako zbyt kosztownych dla ich kieszeni. Po latach kilku tacy lekarze albo stale pozostają w Warszawie, zbogacając nieraz naukę, albo osiedlają się na prowincyi, gdzie o wiele pożyteczniej działają, niż gdyby byli odrazu wyjechali. Powiem śmiało, że nie znam ani jednego z młodych lekarzy, któryby trzymał się w biedzie Warszawy dla rozrywek tylko i przyjemności, pełniąc rozmaite obowiązki w prasie i wyczekując chorób *). Może Redakcya jest szczęśliwszą pod tym względem ode mnie. Nie jestem zamożny, natychmiast jednak składam na biednych rs. 5, jeżeli mi wskażecie choć kilku takich lekarzy**). Mojem zdaniem, więcej nowo-ukończonych powinno pozostawać w Warszawie, choćby przez lat parę tylko starać się utrzymać, jak będzie można, byle tylko uzupełnić swe wiadomości. Poziom wiedzy lekarskiej na prowincyi tylko by zyskał na tem.

Ważniejszym jest następny zarzut Redakcyi: „Zaznaczony przez autora wypadek, że działający w niej (prowincyi) lekarz z konieczności traktuje chorych niedbale, gdyż ma ich wielu, a dochodu mało, nie wytrzymuje najlżejszej krytyki, ani moralnej, ani praktycznej.“ Najwidoczniej Redakcya w danym razie zupełnie mnie nie zrozumiała, aczkolwiek zaraz w następnych zdaniach myśl swoją obszerniej rozwinąłem. Wobec tego czuję się w obowiązku wytłomaczyć jaśniej. Pan X jest jedynym lekarzem na całe miasteczko i okolicę. Dziennie jest on w możności sumiennie zbadać chorych, przypuśćmy, 15. Tymczasem często zmuszonym on jest udzielać swej porady osobom 30 i więcej. Wobec tego z konieczności musi jedne osoby badać troskliwie, drobnostkowo, inne powierzchownie. Punktem wyjścia byłoby tutaj osiedlenie się drugiego jeszcze lekarza. Honorarya lekarza X wynoszą groszy 10, 20, złoty, rzadko więcej, często zupełnie nic. Prawie każdy, zasięgający porady, powiada, że jest biedny. Żyd, nawet bogatszy, czyni to z zasady, by coś utargować; włościanin dlatego, że mu się dziwnem wydaje płacić za krótką poradę 2 złote wobec tego, że robotnikowi nie więcej płacą za cały dzień ciężkiej pracy w polu. Wyjazdy stosunkowo (licząc czas i zmęczenie na naszych polskich drogach) nie o wiele więcej przynoszą. Wskutek tego ogólny dochód lekarza X wynosi rs. 1,000 do 1,200.

Dla jednego człowieka z rodziną może to wystarczyć na skromne utrzymanie, gdyby jednak osiadł jeszcze drugi, dochód ten na dwóch okazałby się za mały. Widzimy zatem, że lekarz X, przy stosunkowo niewielkim zarobku, niema czasu ani śledzić za postępem wiedzy, ani badać wszystkich chorych, jak należy, t. j. musi *często z konieczności* (dla czego Redakcya na te słowa nie zwróciła uwagi?) traktować ich niedbale. Weźmy tu także pod uwagę, że taka ciągła praca bez wytchnienia, połączona z tysiącem przykrości, przechodząca siłę jednostki, a niezabezpieczająca nawet bytu rodziny jego na wypadek śmierci lub choroby, praca taka, powiadam, szybko może zniechęcić do siebie. Takich zniechęconych lekarzy spotkamy bardzo dużo. Stają się oni prostymi wyrobnikami, traktującymi medycynę jako rzemiosło, często nawet po tandeciarsku. Niektórzy z nich ratują się bogatem ożenieniem, a wielu jeszcze innych szuka sobie korzystniejszych źródeł dochodu, mało już dbając o chorych. Jest jeszcze jeden punkt wyjścia. Lekarz, wielokrotnie oszukany, nie wierzy na przyszłość wszelkim zapewnieniom o biedzie, każe sobie z góry płacić oznaczoną kwotę i, jeżeli mu tego warunku nie dopełnią, choćby chory bez jego porady miał umrzeć, nie pojedzie. Są i tacy. Tą drogą odstraszają oni cały proletaryat, który idzie na pastwę znachorów; lepsza praktyka, zabierając mniej czasu, przynosi im tyleż dochodu, a może i więcej, aniżeli pierwszym. Są to fakty znane, nie chciałem się przeto rozwodzić nad nimi w przeszłym liście, lecz potrąciłem kwestyę kilkoma wyrazami. Na to Redakcya odpowiedziała mi, że wypadki te nie wytrzymują najlżejszej krytyki, ani moralnej, ani praktycznej. A to dlaczego? Ja sądziłem, że każdy wypadek może być poddany krytyce, tem bardziej wypadek tak ważny, jak przez nas rozpatrywany. Otóż ze stanowiska moralności lekarza, który wskutek nadmiaru zajęcia nie jest w stanie wszystkich chorych badać sumiennie, uniewinniam*). Co się tyczy lekarzy, każących sobie z góry płacić, tych *poniekąd* usprawiedliwiam. Oszukani wielokrotnie, przychodzą do wniosku, że, ponieważ nie wiadomo, komu wierzyć, najlepiej nie wierzyć nikomu. Za to bezwarunkowo potępiłbym lekarzy, dla których medycyna o tyle tylko ma wartość, o ile daje im wstęp do innych źródeł dochodu. A jednakże jest to złe, przeciwko któremu nikt nie występuje. Publiczność, wiele wybaczająca bogatym, patrzy na to przez szpary. Prasa urządza krucyaty przeciwko młodym lekarzom, przeciwko projektowi stałej taksy, to jednak, czy wielu lekarzy zbogaca się z praktyki, nie obchodzi ją wcale. Dla niej nie istnieje fakt, że lekarz, szczególnie prowincyonalny, jeśli żyje tylko z praktyki, rzadko dorabia się pieniędzy, ale bardzo często nie może nic zebrać nawet na czarną godzinę; że często w ciągu lat kilkunastu niszczy zdrowie, nie zdoławszy nawet dzieciom dać odpowiedniego wykształcenia; że przeciętny wiek lekarza jest najkrótszym, a na wypadek śmierci jego wdowa i dzieci dostają z kasy zapomogę tylko 80 rs. To wszystko prasie naszej zdaje się być nieznanem,

*) *Notatka statystyczna.* W roku 1881 było lekarzów, kończących uniwersytet warszawski, 29. Z nich w Warszawie pozostało 8, 1 jest asystentem przy katedrze farmakologii w Dorpacie, reszta rozpierzchła się po Królestwie i tak zwanych guberniach zachodnich. Z pozostałych w Warszawie jest ordynatorami 3 (1 w Inst. oftal., 1 w Przytul. położ. na Pradze i 1 w Szpit. żyd.), prosektorem 1 przy prof. Czausowie, i asystentami 4 (2 przy prof. Baranowskim, 1 przy prof. Kosińskim, 1 przy prof. Jefremowskim, będący zarazem stypendystą uniwersyteckim).

W roku 1882 kończących było 36. Z nich 2 umarło, 1 od dwóch lat ciężko chory, 3 pozostało w Warszawie, reszta wyjechała na prowincyę. Z pozostałych w Warszawie 1 jest asystentem przy d-rze Orłowskim i zarazem stałym lekarzem w zakładzie Chomętowskiego, 1 asystentem przy prof. Popowie i 1 przy prof. Tauberze.

W r. 1883 kończących było 71. Z nich umarł 1, z różnych powodów nie dokończyło jeszcze egzaminów 16, w Warszawie pozostało 13. Z ostatnich asystentami są: 1 przy prof. Baranowskim, 1 przy prof. Kosińskim, 2 przy prof. Lamblu, 2 przy prof. Jefremowskim (jeden z nich nadto nominowany na pomocnika inspektora gub. warszawskiej), 1 przy d-rze Sokołowskim, 1 jest pomocnikiem prosektora przy prof. Brodowskim, 1 — pomocnikiem prosektora przy prof. Czausowie, 2 pracuje w Szpitalu żydowskim, wreszcie 2 nie pomieściło się stale nigdzie, lecz uczęszcza do kilku szpitali, jak: ś-go Ducha, Dzieciątka Jezus i innych. Z ogólnej liczby trzynastu 3 po kilku już miesiącach opuszcza Warszawę. Z liczby 16, którzy egzaminów jeszcze nie dokończyli, 2 tylko, zdaje się, ma zamiar pozostać w Warszawie, poświęcając się chirurgii. Umyślnie wybrałem ostatnie lat trzy, jako najbardziej mogące przeciwko mnie świadczyć. Większa część jest asystentami, a wielu z nich opuszcza Warszawę po wysłuchaniu oznaczonej liczby lat. Pominąwszy tego w powyżej podanych liczb możemy postawić wnioski: 1) młodzież lekarska nie po to zostaje w Warszawie, żeby szlifować bruki, 2) ilość pozostających nie jest znaczną. *Przypisek autora.*

**) Wyzwanie takie może autor uczynić śmiało, bo wie, że dostarczenie z naszej strony zupełnego a drażliwego dowodu jest niewykonalnem. *Red.*

*) A my nie. Pojmujemy, że lekarz, zbyt zajęty, może mimowiednie i mimowolnie w tym lub owym wypadku zgrzeszyć pośpiechem, ale świadomie postawiona przez niego zasada: ponieważ chorzy mało mi płacą, a jest ich wiele, więc będę ich kurował pobieżnie, po partacku (ustawię np. rzędem, każę języki pokazać i zapiszę jedno lekarstwo) — taka zasada etycznie obronić się nie da. Ani praktycznie. Bo partacz nawyknie do fuszerki, nie zyska ufności i nie wyciągnie z wiedzy swojej korzyści. *Red.*

lecz natomiast wie ona, że między lekarzami są ludzie bogaci, którzy się majątku dorobili.

Lecz przejdźmy wreszcie do praktycznych wniosków, jakie może nam nastręczyć rozbierana kwestya. Według mego zdania obecne położenie domaga się reformy stosunków lekarskich, o czem wspominałem i w przeszłym liście. Może ktoś inny zdobędzie się na oryginalny projekt. Ja wskazałem na dwa, już gdzieindziej wprowadzone: urządzenie taksy na prowincyi (dla dużych miast jest ona z wielu słusznych względów niemożebną) i na płacenie przez gminę honoraryów lekarzowi za poradę, udzieloną biednym. Tą drogą ukrócilibyśmy wyzysk, dalibyśmy utrzymanie dla większej ilości lekarzy, przez to samo ich pracę uczynilibyśmy lżejszą, w wielu razach sumienniejszą, zatem bardziej produkcyjną.

Przykrym i dziwnym jest dla mnie wniosek, który Redakcya wyciągnęła z mego listu, jakobym ja żądał dla lekarzy dyspensy od wszelkiej ofiarności. Przeciwko takiemu pojmowaniu mego listu jak najusilniej protestuję. Jeżelim powiedział, że lekarze z ochotą radziby zrzec się tytułu dobroczyńców ludzkości, rozumiałem to tylko, że wcale nie chcą oni, żeby ich ogół uważał za Towarzystwo dobroczynności. Owszem, zdaniem mojem, lekarz u nas z wielu względów bardziej może, aniżeli inni obywatele kraju, powinien pamiętać, że w naszych stosunkach nikomu nie wolno być samolubem. Stąd jednak nie wypływa jeszcze, że trzeba ich tak przeciążać tą ofiarnością, by ona w miejsce korzyści przynosiła szkodę ogółowi. Ten, któremu nawet zapłacono za sumienne zbadanie chorego i zapisanie recepty, ma tyle jeszcze do zrobienia, jako lekarz i człowiek, że zasłuży sobie na miano szlachetnego, jeżeli temu zechce podołać. Nie mówię tu już o innych obowiązkach jego, niemających bezpośredniego stosunku z medycyną, ale związanych ze stanowiskiem jednostki inteligentnej, niezależnej.

Na zakończenie listu tego muszę raz jeszcze odeprzeć uparcie powtarzane przez Redakcyę twierdzenie, iż lekarze pożądają chorób, życzą im obfitego żniwa dla poprawienia interesów swoich. Po cóż w takim razie Towarzystwo Lekarskie, korporacya, służąca za wyraz życzeń ogółu lekarzy, trudzi się nad przepisami hygienicznymi, zakłada laboratoryum hygieniczne, opracowywa przepisy, mające zapobiedz cholerze? Czy tak sobie, w braku lepszego zajęcia, dla zabicia czasu? Zresztą przejrzyjmy treść odezwy, rozesłanej po raz drugi już do lekarzy, zamieszkałych w Warszawie. Brzmi ona w przekładzie tak: „W odezwie z dnia 29 czerwca pod nr. 1890 zarząd lekarski prosił Szanownego Pana o zawiadomienie, czy Pan nie zgodzi się w razie cholery podjąć zarządu jednego z 161 cyrkułów sanitarnych, na które zamierzamy rozdzielić Warszawę. Z ilości 323 lekarzy, zapisanych do księgi, prowadzonej przez zarząd, wyraziło zgodę 40. Objaśniając to smutne zjawisko tylko niejasnem zredagowaniem odezwy, Zarząd lekarski po raz drugi zaprasza pp. lekarzy itd.“ O ile wiem, nie lepiej poskutkowała druga odezwa, pomimo tego nawet, że wyznaczono i ogłoszono odpowiednią płacę stałą za ponoszone trudy. A przecież oprócz 323 lekarzy, zapisanych do kontroli, jest pewna ilość jeszcze niewciągniętych; pomiędzy zaś 40. co zgodzili się pełnić obowiązki sanitarne, choć z 10 może się znalazło takich, którzy zrobili to nie z chciwości jedynie. Wobec przytoczonego faktu niektóre gazety może się znów rzucą na lekarzy, obwiniając ich o brak poczucia obowiązków, o niedbałość w kwestyi zdrowia publicznego itd. Cóż robić! Bajka o młynarzu, synu jego i ośle zawsze będzie jedną z najlepszych bajek.

Pozostaję z prawdziwym szacunkiem i poważaniem dla Was, Szanowny Redaktorze

Jeden z młodych lekarzy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Aby rozruszać znużoną upałami publiczność, reżyserya wystawiła 5-aktową farsę Meilhac et Comp. p. t. *Mój koleżka* (Ma camarade), która była nowalią ostatniego sezonu w Palais Royal w Paryżu. Jak wiadomo, ten przybytek wesołej muzy jest ulubionym przez młode mężatki, które tu korzystają z przywilejów zabawy i swobody po ciężkiej niewoli, jaką odznaczają się obyczaje francuskie. *Ad usum* tego rodzaju słuchaczek p. Mailhac napisał *Mego koleżkę*, którego morał da się streścić w następujących słowach: „Żona nie po to idzie za mąż, aby się bawić, używać swobody, być koleżką swego męża, stroniąc od macierzyństwa, ale aby naprawdę być... żoną. Pani Boistulbé, która miała tak dzikie pojęcie o małżeństwie, przekonywa się po niewczasie, że to niebezpieczne, gdyż mężulek, pomimo najlepszych chęci, wynagradza sobie domowe „koleżeństwo“ na balikach półświatka. Dopiero wtedy dotknięta zazdrością kapituluje, i kurtyna zasłania nam młodą parę w miłosnym uścisku...“ Wątek sztuki, przeplatany komicznymi epizodami, nie rozwija się, jak na farsę, dość szybko. Głównym jej efektem jest cudacka piosenka japońska, którą na baliku półświata nuci wraz z kuzynkiem żonka, poszukująca męża i przebrana w odpowiedni kostium. Jako farsa *Mój koleżka* nie należy do najdowcipniejszych igraszek francuskiego humoru, ale chwilami rozśmiesza do rozpuku. Grano tę sceniczną pustotę świetnie, lekko, elegancko, odtrąciwszy efekty, które u nas byłyby zbyt grube i trywialne. W przedstawieniu straciła cokolwiek swój podkasany i specyalnie francuski charakter, ale zyskała na estetyczności. Główną rolę kobiecą oddała panna Wisnowska ładnie, z całą filuteryą wcielając się w motylą postać paryżanki, wesołej, jak ptaszyna, a pustej, jak bańka mydlana. P. Tatarkiewicz jako mąż, pocieszający się po domowym poście w gronie wesołych cór Paryża, był także pełnym szyku, humoru i werwy; p. Ostrowski znowu wybornie bawił się razem z widzami, a pani Micińska, jako kabalarka była, jak chcą autorowie, istotnie zabawnem—czupiradłem.

Dziwne przedsiębiorstwo. P. Z. Słupski nabył i ma podobno wydać artykuły, nieprzyjęte przez redakcyę *Na pomoc.* Można sobie wyobrazić, co to będą za okazy wytworności i zdrowego sensu, jeżeli wybrani dali możność *Kolcom* ułożenia takiego udatnego numeru parodyj. Przedsiębiorstwo zapewne uda się, bo amatorów szykany i zabawy, okraszonej na skandaliczny odcień, znajdzie się dużo. Publiczność nie ma sposobności poznania zawartości koszów redakcyjnych, będzie więc ciekawa. Dziwić się temu nie można. Ale dziwnem jest, że się zgodzili na podobny przemysł autorowie. Niepodobna także nie wzruszyć ramionami z powodu inicyatywy przedsiębiorstwa. Niezbyt to wzniosła moralność puszczanie śród publiczności, mającej za jedynego przewodnika w publicznem życiu literaturę, patentowanych niedorzeczności. Z nazwisk bardziej znanych śród nieprzyjętych figurują: pani Leja, pp. Hertz, Jaskółka, B. Aspis, Stanisław Bełza, Wincenty Niewiadomski, Niemojowski.

Urzędowe obliczenie podaje, iż straty zrządzone przez wylew Wisły w Królestwie, wynoszą 4 i pół miliona rs. Z sumy zaś 200.000 rs., przeznaczonych na powodzian, rozdano 10,730 rs. w Warszawie, 19,507 w gubernii kieleckiej, 62,778 w radomskiej, 16,582 w lubelskiej, 7,024 w siedleckiej, 73.240 w warszawskiej i 4,210 w płockiej. W Warszawie korzystało z zapomogi 278 rodzin, w gubernii kieleckiej 1,216 rodzin i 6,071 osób, w radomskiej 3,097 rodzin i 16.373 osób, w lubelskiej 532 rodzin i 2,738 osób, w siedleckiej 399 rodz. i 1,914 osób, w warszawskiej 4,435 rodzin i 21,684 osób, w płockiej 437 rodzin i 9,210 osób, ogółem 10,394 rodzin i 50,426 osób.

Ministeryum spraw wewnętrznych zarządziło następujące środki zaradcze przeciw cholerze na zachodnich granicach państwa: 1) Osoby, jadące z Francyi lub Włoch, bez względu na to, czy są obcego, czy rosyjskiego poddaństwa, jeżeli chcą być wpuszczone do granic państwa, winny mieć poświadczenie tamecznych konsulów rosyjskich, że jadą z miejscowości, w których cholera nie grasuje, albo też że przebyły po za niemi już trzy tygodnie. 2) Przewóz wszelkiego rodzaju szmat używanych i bielizny wszelkiego rodzaju niewypranej zostaje zabroniony. Przedmioty podobne winny ulegać na granicy ścisłej dezinfekcyi.

Dziesiąty raz. Brak miejsca nie pozwala tygodnikowi notować wszystkich pożarów, jakie wciąż nawiedzają miasta i miasteczka. Są miejscowości, co gorzały w tym roku już sześć razy, sporo jest takich, które po cztery razy dotknęła ogniowa klęska, ale Mińsk przeszedł je wszystkie, bo w ciągu 2 miesięcy palił się *dziesięć razy!* Zawsze przyczyną było podpalenie.

W Galicyi znowu spłonął Rozwadów i Halicz (dzielnica żydowska).

Artyści warszawscy postanowili — jak donosi *Kur. warsz.*—założyć towarzystwo, mające na celu zaopatrzenie prowincyonalnych kościołów w obrazy przyzwoitej roboty.

Nowy szpital otworzony został w Łodzi przy zakładach fabrycznych Scheiblera dla tamecznych robotników i rodzin ich.

Drugi zjazd techników polskich ma się odbyć w roku przyszłym w Warszawie. Lwowskie *Czasopismo techniczne* zapytuje kolegów warszawskich, czy to możliwe.

Michał Bałucki obchodzi w tym roku 25-letni jubileusz zawodu autorskiego. Literaci krakowscy i liczni znajomi krzątają się, aby w sposób uczciwy, a nie przesadny, wyrazić uznanie temu pisarzowi.

Zmarli. Konstanty Hoszowski, ostatni senator b. Rzeczypospolitej krakowskiej, członek Akademii Umiejętności, w Krakowie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

K. w Tahil. Rs. 6 zatrzymujemy; *Na pomoc* wyczerpane; ma być podobno drugie wydanie, po wyjściu którego żądane egzemplarze wyślemy.

P. St. Pieszko. My wiemy tylko tyle, że pismo stale Panu wysyłamy, a nr. 34 powtórnie.

OFIARY.

Na powodzian. Za pośrednictwem p. Józefskiego z Kijowa: W. J. rs. 4, Józefat Andrzejewski rs. 3, Waleryan Kulikowski rs. 5, Ewa Kulikowska rs. 5, B. Krzyżanowski rs. 5, Jan Mars rs. 3, Bartnicki rs. 1, B. Putiatycki rs. 2, Wasilewski i Pilaski skład nasion rs. 5, Czamański skład nasion rs. 5, S. rs. 1. Łada Zabłocki rs. 1, St. Gosiewski rs. 2, Pulaski rs. 1, Józef Huszcza rs. 1, W. i M. Swięc. rs. 2, M. Grodzki rs. 2, L. Bakinowski rs. 5, J. Selinger rs. 5, Dobek rs. 1, K K. rs. 3, St. G. rs. 1, K. K. rs. 1. Wacław Wolman rs. 1, K. Piwowońska rs. 1, Siemionow rs. 1, Wiederschal rs. 1, J. G. rs. 1; Prószyńska z Kazarnówki rs. 5, Michał Podhorski z Bereznej rs. 10, L. Kochanowski z Koszowatej rs. 5, Wolański z Koszowatej rs. 1, W. K. z Białej Cerkwi rs. 1, Otto Mildner z Antonowa rs. 3—razem rs. 94 połowa na Galicyan. Urbanowicz rs. 1, Mierzwinski k. 30, Gławzdanowicz rs. 1, Datinski rs. 1, Spiner k. 50, Karol i Kazimiera M. rs. 1, Łepkowski rs. 1, Klüner rs. 1, Węcko k. 50, Łucewicz k. 50, Maculewicz k. 50, Lud. Arc. rs. 1, Ciołkowski rs. 20. Pietkiewicz rs. 1, Lachowicz k. 50—za pośrednictwem Urbanowicza zebrane od pracujących na kolei Riażsko-Wiazemskiej; Brodeccy, Kórowicki i Garliński rs. 5—z Kiszyniewa; K. Baranowski z Symferopola rs. 2, Kłopotowski Józef rs. 1, A. Kłopotowski nauczyciel gimnazyum rs. 3 — z Charkowa; A. S. z Ługańska rs. 1 k. 50.

Na wpis dla uczniów. A. Kłopotowski nauczyciel gimnazyum z Charkowa rs. 2, F. J rs. 1.

Dla biednej. A. Kłopotowski naucz. z Charkowa rs. 1.

Sprostowanie. W nowelce *Na wiosnę* w nrze 33 *Prawdy* str. 388, szp. 2, w. 17 zam. „poczętą z wspomnieniami“ powinno być „ponętą, wspomnieniami;“ w nrze 34 str. 400, szp. 1, w. 17 zam. „nagłym“ winno być „na obnażone białe rączki, wznoszące się w górę nagłym;“ str. 400, szp. 2, w. 13 zam. „świeżemi“ — „i świeżemi.“

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Августа 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.